

ISSN 1507-4781\* ROK XXII\* LATO (VII, VIII, IX) 2019\* nr 81

# FORUM 81

## MYŚLI WOLNEJ

Krakowski magazyn racjonalistów



STEFAN BERDAK "Było ich trzech" akryl, olej

### W numerze m.in.:

- Tadeusz Żeleński-Boy, *Narzeczeni*
- Kazimierz Pasenkiewicz, *Rodzinny Dom*
- Danuta Stolarek, *Katarzyna II – cz. II*
- Michał Chorośnicki, *Wizy do Ameryki – Mity i rzeczywistość*
- Jędrzej Szlachetka, *debiut literacki*



doc. dr Andrzej Kurz  
– przewodniczący,  
prof. dr hab. Czesław Banach  
– wiceprzewodniczący,  
dr Józef Kabaj  
– wiceprzewodniczący,  
mgr Stanisław Franczak  
– sekretarz.

**Członkowie:**

prof. dr hab. Adam Chmielewski,  
prof. dr hab. Michał Chorośnicki,  
prof. dr hab. Ignacy S. Fiut,  
prof. dr hab. Marian Grzybowski,  
prof. dr hab. Jerzy Kochan,  
prof. dr hab. Jerzy Kolarzowski,  
dr hab. Zbigniew Krawczyk,  
prof. dr hab. Józef Lipiec,  
mgr Mieczysław Noworyta,  
prof. dr hab. Jerzy Ochman,  
prof. dr hab. Jan Szmyd,  
prof. dr hab. Piotr Szydłowski,  
prof. dr hab. Jan Woleński,  
prof. dr hab. Krzysztof Woźniakowski.

**ADRES REDAKCJI:**

30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/5  
tel. 12 423-50-16; 501 567 547  
e-mail: j.kabaj@wp.pl  
sekretarz redakcji: tel. 501 286 053

**Wydawca:**

Rada Wojewódzka  
Towarzystwa Kultury Świeckiej,  
30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/5  
**www.forummysliwolnej.pl**  
Dom Fundacyjny im. Lidii i Leona  
Świeżawskich

**Skład, łamanie i druk:**

Agencja Reklamowa Novum  
31-158 Kraków, ul. Krowoderska 66/8  
www.novum.krakow.pl

**SŁOWO OD REDAKTORA**

1 Stanisław Franczak

**TEMATY SPRZED LAT**

2 Tadeusz Żeleński-Boy, *Narzeczeni*,  
Wybór, opracowanie i wstęp: Piotr Augustynek

**MYŚLAĆ BELFREM**

7 Piotr Augustynek, *Belfer na opak wyrócony*

**ETYKA DLA MŁODZIEŻY**

9 Piotr Szydłowski, *Fenomenologiczna etyka wartości Maksza Schelera (1874–1928)*

**RELIGIOZNAWSTWO**

17 Jan Czajkowski, *Společne postulaty średniowiecznych heretyków (część 2)*  
25 Paweł Borecki, *Specyficzny status prawny kleru w Polsce*

**W STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI**

31 Kazimierz Pasenkiewicz, *Rodziny Dom*

**HISTORIA I POLITYKA**

39 Danuta Stolarek, *Katarzyna Wielka (część II)*

**FELIETONY**

47 Michał Chorośnicki, *Wizy do Ameryki – mity i rzeczywistość*

**KRONIKA**

50 Obchody Pierwszego Maja Krakowskiej Lewicy 2019  
51 Tradycja i przyszłość  
52 Konkurs literacki „Nie musisz pisać do szuflady”

**53 REFLEKSJE I KOMENTARZE**

**RECENZJE**

55 Piotr Augustynek, *Dwa Bratanki*

**LITERATURA**

56 Jędrzej Szlachetka, *Obserwator*

**62 Z PRASY**



## SŁOWO OD REDAKTORA

Tegoroczne wakacje cechuje atmosfera niepokojów społecznych spowodowanych niewłaściwą polityką rządu. Niskie płace nauczycieli i brak skutecznego programu nauczania, a przede wszystkim lekceważenie środowiska oświaty prowokuje także inne środowiska do aktywnego sprzeciwu społecznego. Symboliczny wulkan grozi wybuchem i ogólną katastrofą państwową. Czyżby obecne władze nie rozumiały powagi sytuacji? A na świecie Chińczycy górą, w azjatyckim tempie opanowują gospodarkę światową. Aż dziw bierze, że największym ich dłużnikiem jest USA, konkurują w Kosmosie, stają się prymusami w nauce i mają największą armię świata. W tle nasila się zimna wojna mocarstw światowych i tłący się pożar pomniejszych państw posiadających arsenał atomowy. I jeszcze wszechobecny terroryzm. Nieciekawym, doprawdy to obraz, który myślącym ludziom śni się po nocach.

A na naszym rodzimym podwórku – powyborczy krajobraz polityczny jak w zagrodzie po nieudanym weselu. Wszyscy ze wszystkimi skłócenia, każdy ma rację, MY jesteśmy „cacy”, a ONI są „be”. Rozmiaru paranoi dopełnia fakt, że w eurowyborach wykorzystano elementy kampanii wyborczej do Sejmu i Senatu, choć te dopiero będą w październiku. O naszej pozycji w Unii niewiele mówiono. Zwycięska koalicja próbowała wmówić polskiemu wyborcy, że w Unii Polska jest niemal za karę. Skoro tak, to trzeba zwinąć autostrady wybudowane za dotacje z UE. Trzeba popsuć to wszystko, co powstało. Nawet nie wiadomo, jak to wszystko skomentować.

W naszym numerze kontynuujemy cykl etyczno-religioznawczy, wspomnienia prof. K. Pasenkiewicza, ciąg dalszy biografii Katarzyny Wielkiej oraz stałe cykle Boya, pedagogiczny i społeczny a także bieżące felietony i komentarze. Szczególnie polecamy artykuł prof. M. Chorośnickiego. Miłej lektury!

Kraków – czerwiec 2019 r.



fol. A. Pietryka

Jest rok 1931. Rozpędzone, cieszące się pełnią życia (pomimo nierówności i podziałów społecznych) dwudziestolecie międzywojenne. Nareszcie wolni, niezależni, twórczy w kształtowaniu zrębów nowego społeczeństwa...

Mogłoby się wydawać, że nic nie szkodzi (szczególnie młodemu pokoleniu) po swojemu układać sobie życie. A jednak – nie do końca. Okazuje się bowiem, że młodzież A. D. 1931 zapytana o swoje poglądy na życie, na (wydawałoby się) ważne zjawisko, jakim jest małżeństwo, miłość, relacje pomiędzy płciami – odpowiada zestawem banałów, wyuczonych frazesów, jakby chodziło nie o własne poglądy, lecz o wyuczoną lekcję.

Od opisywanych wydarzeń minęło 88 lat, a ja mam odczucie czegoś znajomego, czegoś usłyszanego zaledwie kilka tygodni czy kilka dni temu. Czyżbym się pomylił?

Gdy w III RP A. D. 2019 stacja telewizyjna (jakakolwiek, bez wyjątków) czy gazeta (niezależnie od opcji politycznej) zada młodemu naukowcowi, sportowcowi, artyście, celebrycie itp. pytanie o najistotniejsze wartości – już wiemy. Usłyszymy odpowiedź składającą się z następujących elementów: dom, rodzina, życie rodzinne, wartości (cokolwiek to mogłoby znaczyć). Elementy mogą być poukładane w dowolnej konfiguracji, ale żadnego z nich nie może zabraknąć. Powtarzane często i bezmyślnie urastają do rangi szlachetnego banału. Dlaczego banału? Ano dlatego, że duża część owych deklaracji jest nieprawdziwa już w momencie udzielania wywiadu. To, że dla młodego człowieka w oficjalnych deklaracjach najważniejsza jest rodzina, wcale nie przeszkadza w fali przemocy domowej (zapewne w obronie tejże rodziny), rozwodów, zdrad – słowem: deklaracje sobie, a życie sobie.

Innym polem interesujących obserwacji są związki partnerskie. Jeszcze do niedawna z oburzeniem potępiane, a dzisiaj przyjmowane jako znak czasu. Wniosek? Po co było zakłamywać rzeczywistość, piętrzyć dziwaczne budowle moralne, skoro i tak zmiółł je wicher historii?

Zastrzegam: nie mam nic przeciw wartościom rodziny, a także układów partnerskich. Oby tylko były oazą szczęścia, oby wstydliwie nie kryły się za murem frazesów.

Co znajdziemy tym razem w tekście Boya? Obok znakomicie prowadzonej narracji mamy jak zwykle dużą wiedzę psychologiczną i socjologiczną, wzbogaconą uwagami, które do dzisiaj mało straciły na aktualności. Nie chodzi tu o „instytucję narzeczeństwa”, długiego jak wyrok. To się zmieniło. Chodzi o fakt skostnienia poglądów ludzi młodych. Dlaczego z ich ust nie padają żadne słowa świadczące o buncie przeciw temu, co jest ?

Jawny bunt słychać w wypowiedziach niewielu ludzi młodych. Reszta chowa się za bezpieczny frazes. Dlaczego? Nie wiem; może dla świętego spokoju.

*Wybór, opracowanie i wstęp: Piotr Augustynek*

## NARZECZENI

W walce o nowe formy życia, jaka toczy się dzisiaj w świecie, dwa czynniki u nas uderzają swą biernością – kobiety i młodzież. Gdy chodzi o palące kwestie kobiecej egzystencji, gdy wykuwają się nowe prawa, nowe pojęcia – kobiety milczą. One, których w dobie tworzenia dawnych norm nikt nie pytał o zdanie, i które miałyby teraz sposobność rzucić swoją wolę, myśl, swój głos na szalę – milczą, albo wypowiadają się dość blado. Tak samo ze strony młodzieży nie pada żadne interesujące słowo, raczej powtarzają z automatyczną wiarą frazesy, w które dorośli... stracili po trosze wiarę.

Niedawno temu na przykład jedno z pism – och, bardzo umiarkowane! – rozpisało ankietę, celem zorientowania się w życiu i duszach młodzieży. Między innymi ankietą ta pytała o stosunek młodzieży do małżeństwa. Otóż, podając jej wyniki, na wstępie redaktor zmuszony był stwierdzić, że większość młodzieży zupełnie nie zrozumiała pytania. Sądzi, że chodzi w ogóle o pogląd studentów na samą instytucję małżeństwa. Odpowiedzieli więc, że uważają małżeństwo za „gwarancję rozwoju i zwartości narodu”, „podstawową komórkę społeczeństwa”, za „nie-rozerwalny sakrament” itp. Zastrzegli się p r z e c i w s z e l k i e j z m i a n i e ustawodawstwa małżeńskiego. (...)

Któryś w odpowiedzi na pytanie ankiety oznajmił, że „jeżeli syn czy córka wynosi szlachetne idee z ogniska

domowego, to na pewno w życiu późniejszym umie ich przestrzegać z godnością i uczciwością”.

Taką wiązaną pięknych aforyzmów zebrał redaktor, który chciał się dowiedzieć, jakie stosunki i jakie poglądy panują wśród naszej młodzieży co do wczesnego małżeństwa i spraw z nim związanych. (...)

Ci nieliczni, którzy zrozumieli pytanie, dają w sprawie studenckich małżeństw takie np. odpowiedzi: „Często takie małżeństwo wpływa na pogorszenie się stosunku do rodziny, wobec której można zauważyć w większości młodzieży nieodpowiednie postępowanie. Młodzi studenci, przeważnie nowo wstępujący, wyrwawszy się spod opieki rodziny, zaniedbują swoje obowiązki i starają się poznać tajniki życia wielkomiejskiego, a to prowadzi do kolizji z rodziną i nauką.”

Nie zajmuję się tutaj kwestią studenckich małżeństw, chodzi mi tylko o stwierdzenie braku jakiegś świeżej myśli, braku odwagi, szczerości. Frazes... i to bez daty i miejsca. Bo kto domyśliłby





się z tych odpowiedzi, czy to odpowiada młodzież w r. 1931, czy też np. stare ciotki w r. 1881, które mogłyby powiedzieć dosłownie to samo? Któż by się domyślił, że chodzi o jedną z najbardziej żywotnych spraw dla młodego człowieka? Bo przecież to nie jest kwestia abstrakcyjna, ale, przeciwnie, piekący (co dzień) problemat życia młodych, jak nakarmić młody głód miłości, gdzie skierować zalewającą mózg i serce falę sił życiowych! Jeśli nie małżeństwo, w takim razie pozostają cztery alternatywy: czystość, onania, prostytutka i swobodne związki. Jeżeli swobodne związki, znowu mamy trzy możliwości: towarzyszyki tych związków albo zapobiegają ciąży, albo przerywają ją, albo rodzą. (...)

Rzecz charakterystyczna: dotąd nie mówiło się o tym wszystkim, obecnie redakcja jakiegoś pisma chciała rozwiązać młodzieży język i oto młodzież odpowiada komunałami, które twórca ankiety i redaktor, stary wyga, przytacza z uśmiechem zażenowania.

Ale może ja za wiele żądam od młodzieży? Atmosfera! Nieraz mnie to uderzało, że gwałtownym przemianom, które niesie dzisiejsze życie, nie towarzyszy – u nas – potrzeba uświadomienia ich sobie, rozważenia ich wartości moralnej,

ich szkód i korzyści. Jeżeli kto broni dawnych pojęć, dawnych form życia, musi sobie uprzytomnić, czego broni i przeciw czemu. Trudno się porozumieć, bo zmienia się wszystko, nawet słownik; w dawne słowa weszły nieraz nowe pojęcia.

Jako przykład takiej substytucji wezmę jedno słówko: „narzeczeni”.

Narzeczeństwo odgrywało niegdyś dużą rolę w życiu młodzieży, zwłaszcza niezamężnej. Młody człowiek – student – odnajmował np. pokój w domu, gdzie była córka, panna „przy rodzicach”. Szara godzina, osamotnienie, brak elementu kobiecego w życiu, jedno, drugie czulsze słówko, przelotny pocałunek – i ani się obejrzał, jak był związany: panna uważała go za „n a r z e c z o n e g o”. Albo na jakimś baliku młodzian rozmarzony paroma kieliszkami, tańcząc z panną, która mu się podobała (czasem nawet nie za nadto), powiedział parę słów nieopatrnych – paf! Ptaszek w klatce, narzeczonej.

Często panna świadomie – nieraz inspirowana przez matkę – prowokowała chłopca. Była to zwykle panna starsza od niego, która w ówczesnych warunkach niewielką miała szansę wyjść za mąż. Młoda i ładna dziewczyna miała nadzieję znaleźć gotowego kandydata „na posadzie”, starsza, nie bardzo mogąc liczyć na męża „w gotówce”, dyskontowała go niejako jak weksel. A taki młody chłopiec podpisywał weksle na przyszłość lekko. On nie miał nic, długie studia przed sobą, ona też nic. Pobrać się oczywiście nie mogli.

Dziś ludzie biorą to inaczej: uważają, że skoro on jakoś żyje i ona żyje, w takim razie wyżyją i we dwoje, może nawet taniej. Ale wówczas była to kwestia

niezmiernie skomplikowana, wchodziły w to różne obrzędy... Ludzie w Polsce byli przeważnie z „dobrych rodzin”, a podupadli finansowo. W przeciwieństwie do innych krajów, u nas ruch klas był nie wstępujący, ale zstępujący, stąd różne tradycje, obowiązki itd. Konieczności „urządzenia” mieszkania (musiał być salon, a w salonie nietykany fortepian, przyszłe narzędzie tortury dla ewentualnych córek); musiała być wyprawa, której każdy szczegół kontrolowało krytyczne oko pani Dulskiej z sąsiedztwa (tyle a tyle obrusów, tyle łyżek, a nożyki do owoców czy są?). No i przy tym nieuchronna perspektywa dziecka, ba, żeby to jednego, ale dziecka co rok, co dwa, nianiek, mamek. Małżeństwo ówczesne nie miało nic z miłej cyganerii dzisiejszych stadeł, było aparatem serio, aż jak serio; prawie tak jak wieko od trumny. (...)

Narzeczeństwa takie obowiązywała czystość. On nie mógł „skałać” tej, która miała być jego żoną – przestałaby go być „godna”. Takie były wówczas pojęcia. Ona bałaby mu się oddać – w formie zaliczki – bo, na zasadzie wiekowych aforyzmów o mężczyznach obawiała się, często słusznie, że się z nią wówczas nie ożeni. Bo takie małżeństwo nie było dobrowolnym związkiem dwojga ludzi, którzy wierzą, że się dobrali szczęśliwie, i że im będzie ze sobą dobrze, ale pułapką zastawioną przez „społeczeństwo” na głód serca mężczyzny.

Narzeczeni żyli tedy w cnocie. Gdyby już nie inne względy, bali się ciąży, której w owym czasie ustrzec się było bardzo trudno, a która była niewiarygodną katastrofą, rzeczą wręcz nie do pomyslenia. Zresztą, w 50–90% wypadków on był chory wenerycznie.

Rzecz prosta, że spędzali z sobą dużo czasu. Wszystek czas wolny. Wypełniały go rozmowy o przyszłości, co prawda

coraz mniej entuzjastyczne, sprzeczki, dąsy, pojednania i mniej lub więcej zaważone pieścoty. Czystość przy ciągłym towarzystwie kobiety... Kiedy nastrój był bardziej gorący, on szedł potem do domu publicznego. Często zarządzał się, o ile nie był już zarażony. Miał czas się leczyć, bo narzeczeństwo trwało długo, ale nie miał na to pieniędzy ani cierpliwości. Toteż zwykle jako prezent ślubny przynosił w małżeństwo źle wyleczoną chorobę weneryczną. (...)

Często po latach bliski celu – zrywał. Ot, poszukał sprzeczki, pozoru, odchodził i nie wracał. Parę osób powiedziało, że jest świnią, ale z czasem zacierało się to. Po latach owego narzeczeństwa żenił się, ale – z inną. Tamta zostawała zrujnowana. Panny „obcałowanej”, „obmacanej” – jak wówczas pięknie się mówiło – nikt by nie wziął, zresztą wiek, kwas... Zostawały jej na resztę życia wstyd, samotność, wymówki matki, drwiny rodzzeństwa, często zaburzenia umysłowe.

Ale jeżeli chłopiec był honorowy – zaciśkał zęby i trwał do końca: żenił się. Traktował to w istocie jako dług honorowy. Nie tyle wobec kobiety, nad tym można by ostatecznie przejść do porządku dziennego, ale była jedna okoliczność, mocno angażująca honor mężczyzny: tych tysięcy i jedna kolacji, które zjadł *gratis*. Bo cała ta idylla odbywała się w domu – gdzież miała się odbywać? Dziś młodzi idą razem do kina, na dancing, do kawiarni, wówczas tego wszystkiego nie było, mogli się tłamsić w domu, gdy matka drzemała w drugim pokoju. Coraz częściej zatrzymywano go na kolację, wchodziło to w zwyczaj i urastał potworny „dług honorowy”; dług nie do spłacenia, bo jak zrywając z kobietą oddać za te kolacje?

Znałem takie narzeczeństwa trwające i dziesięć lat. Ślub był bardziej podobny do pogrzebu niż do wesela. Bo też to był

pogrzeb. Nowe życie zaczynało się od bankructwa. (...)

Dziś sprawy te zmieniły się znacznie. Ludzie oduczani epoką wojny od obliczeń na dłuższą metę, od zbytnej przezorności, zwolnieni z wielu konwenansów, stali się o wiele śmielsi w zawieraniu małżeństw. Związki, oparte najczęściej na pracy obu stron, obchodzą się bez „wyprawy”, bez potopu poszewek, powłoczek, pleśniejących w szafie obrusów. Młodzi gnieźdzą się, gdy potrzeba, w jednym pokoju lub dwóch, umieją się ustrzec dziecka do czasu, gdy sobie będą na nie mogli pozwolić. Małżeństwo stało się aparatem nieskończenie lżejszym. Nie ma już takich par czekających latami. A jeżeli są, to po prostu – co tu ukrywać – żyją z sobą. To, co się dziś nazywa „narzeczeństwem”, jest właściwie nie czym innym, tylko owym „małżeństwem koleżeńskim” czy innym amerykańskim „małżeństwem próbnym”. Tacy narzeczeni też chronią się dziecka; jeżeli zaś się rozejdą, panna nie jest ani zhańbiona, ani nie ma złamanego życia, znajdzie innego narzeczonego, czyli „chodzi” z kim

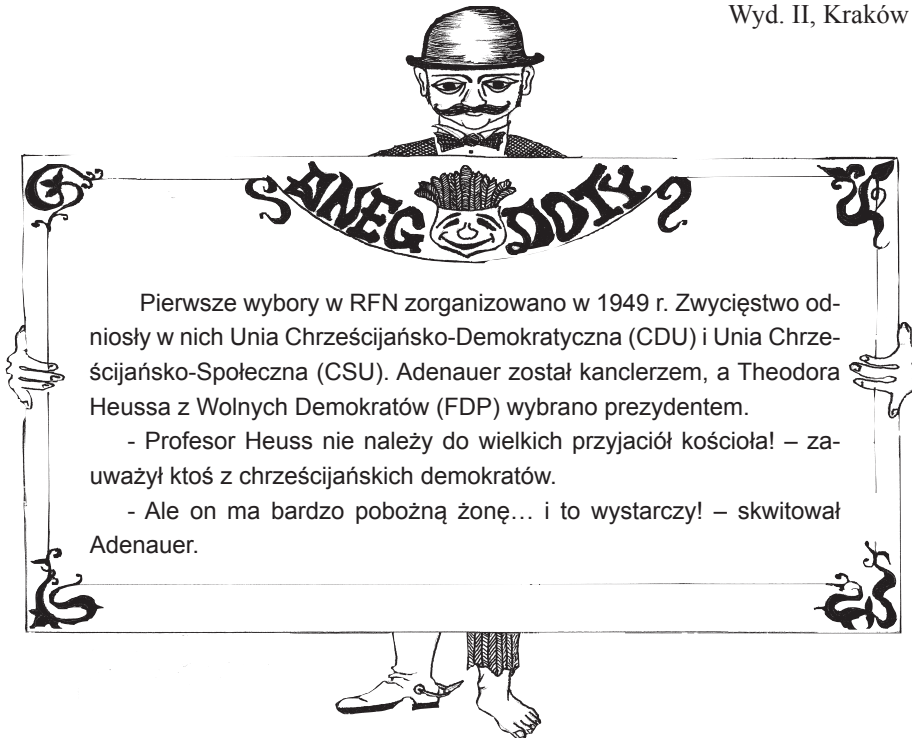
innym, aż wreszcie natrafi na swojego człowieka i wyjdzie za mąż, i żyje szczęśliwie, i ma piękne dzieci.

Otóż czy ci, którzy zwalczają środki ochrony od ciąży, którzy gromią „powojenne rozluźnienie obyczajów”, mogą z czystym sumieniem powiedzieć, że owe dawne obyczaje, których wzorek im szkicowałem, były lepsze? Owe wielce moralne trójkąty, w których prostytutka była nieodzowną „tą trzecią”? A najbardziej jest to, że ci obrońcy dawnej etyki płciowej wciąż równocześnie rzucają hasła zwalczania prostytucji! Albo jedno, albo drugie: ta cała stara „moralność” (z której, nawiasem mówiąc, nie powinien by zostać kamień na kamieniu) opierała się wręcz na prostytucji, to był jej filar. O tym wszystkim mogłaby nam wiele ciekawego powiedzieć nasza młodzież – cóż, kiedy ona woli powtarzać frazesy zużyte do szczytu przez ich własne pra-pra-ciotki... □

1931

Ze zbioru opracowanego przez Henryka Markiewicza

*Boy o Krakowie*, Wydawnictwo Literackie, Wyd. II, Kraków 1973



PIOTR AUGUSTYNEK

## Belfer na opak wywrócony

No i pozamiatane – rzekł jeden z moich przyjaciół, tak jak i ja wiodący żywot emerytowanego belfra.

Tymi prostymi słowami podsumował fakt zawieszenia strajku nauczycieli. Zgodziliśmy się, że to, co stało się udziałem rzeszy moich kolegów po fachu, budzi uczucie bezsilnej złości i – co gorsza – całkowitej bezradności.

Władza ograła nauczycieli jak grupkę przedszkolaków. Było to wyjątkowe podle i cyniczne. Wiemy, jak to wszystko przebiegło, więc nie ma potrzeby przypominać.

Znacznie bardziej interesująca jest przyszłość. Co będzie po pierwszym wrześniu A.D. 2019? Scenariuszy jest wiele i tylko wróżka może wiedzieć, co się wydarzy. Dla mnie najważniejsze są skutki – już zaistniałe – tego, co się stało.

Po pierwsze: skutki psychiczne – fatalne. Mamy bowiem taką sytuację, że brać nauczycielska bardzo boleśnie rozbiła się o rafę pogardy, ostentacyjnego lekceważenia ze strony partii rządzącej. Sam prezes przecież z obleśnym uśmiechem mówił o tym, że wśród strajkujących nauczycieli ktoś przebrał się za krowę. Oczywiście, chodzi o protest przeciwko sformułowaniu programu dofinansowania bydła mlecznego i tuczników, podczas gdy trwał strajk nauczycieli.

Przypomniało mi się powiedzenie o kategorii „użytecznych idiotów”, użyte wobec inteligencji w czasach niesłusznych i słusznie minionych. To miało przejść do wstydliwych annałów historii. Niestety – wróciło wraz z modelem mentalnym władzy. Czy nauczyciele

będą w stanie we wrześniu pozbierać się do nowych form protestu? Czy przypadkiem nie nastąpi gremialna destrukcja tej grupy zawodowej, z czego zapewne cieszyliby się nasi władcy? Czy zacni belfrowie zacisną zęby, a następnie wykażą się determinacją i zaprezentują rządowi potężny gest Kozakiewicza? Czy dojdą do wniosku, że jednak warto walczyć, bo rządzące formacje polityczne przemijają, a trwają wciąż ci, którzy uczą wielu pożytecznych rzeczy? Niestety, u władzy tkwią dzisiaj ci, którzy gardzą nauczycielami, prawdopodobnie dlatego, że mieli bolesny kontakt ze szkołą, a o sukcesach próżno by gadać...

Nie jestem zwolennikiem spiskowej teorii dziejów, ale mam prawo przypuszczać, że władzy zależy na pauperyzacji nie tylko nauczycieli. Nie minie wiele czasu, a zabiorą się za naukowców, artystów, słowem tych, których cechą jest samodzielne myślenie. To się w głowie nie mieści: myśleć samodzielnie, bez dyrektywy politycznej! Ale, kochani rządzący: to już było i władza też nie dała rady.

Po drugie: skutki polityczne – bardzo złe – przede wszystkim dla rządzących. Niezależnie od tego, kto dzierży władzę. Wystarczy proste obliczenie: mamy około 600 tysięcy nauczycieli. Do tego dodajmy ich rodziny. Dodajmy do tego pokątną armię emerytowanych pracowników oświaty. Robi się z tego całkiem spory elektorat. Elektorat, który dotychczas raczej rozsądny i pokorny był przekonany, że belfrom „nie uchodzi”, „nie wypada”, że misja, ważne zadania wobec narodu itd., itp....

Jednakże została przekroczona niewiedzialna granica. Już (chyba) nie można się cofnąć. Już nic nie będzie tak jak dotąd.

Po trzecie (i chyba najważniejsze): skutki społeczno-wychowawcze. Dotychczas nauczyciele traktowani byli (na pokaz oczywiście) z urzędowym szacunkiem. Rok nie byłby rokiem bez Dnia Nauczyciela (nazwę zmieniono na Dzień Edukacji Narodowej). Lektury szkolne roily się od Siłaczek, ale i od Pimków i Bładaczek. Kwitł zawodowy etos „poświęcacza”, „wychowawcy narodu”, „herolda wolności”. Posługiwało się (oczywiście urzędowo) wyimkami z historii, gdzie właśnie nauczyciel tworzył system nielegalnej, podziemnej oświaty, walczył z niesprawiedliwością społeczną, wskazywał drogę do wolności. Tak było. Ale już nie będzie. Nie będzie, bo władza postanowiła udowodnić,

że nikogo nie szanuje, że każdego może upokorzyć. Ciekaw tylko jestem, czy zbrojnych w kilofy górników także...

Co pomyślą sobie nasi uczniowie? Czy przypadek strajku nauczycielskiego stanie się początkiem końca etosu belfra? A może zwycięży myślenie, że nauczyciel, lekarz, naukowiec, artysta to nie tylko zawód? Może ktoś pomyśli, że doprawdy należy inwestować w te grupy zawodowe, od których, owszem, należy wymagać, ale i należy je doceniać i świetnie opłacać? Jeśli tego nie pojmiemy, do zawodu będą trafiać coraz gorsi, coraz mniej zaangażowani, a po latach spod ich ręki wyjdą coraz gorsi politycy, co już widać gołym okiem.

Żeby tak całkiem nie wiało stęchlizną i grozą, przypomnę wiersz Andrzeja Wałigórskiego pt. „List w sprawie polonistów”. Tekst ten wszakże nie tylko polonistów dotyczy. □

*Polonista to nie zawód, lecz hobby,  
Polonistą być – nie życzę nikomu.  
Polonista po godzinach nie dorobi,  
Choćby zabrał robotę do domu.  
Polonista nie wędruje po mieszkaniach,  
Nie odzywa się wchodząc ze dworu:  
– Bardzo ładnie rozbiaram zdania,  
Czy jest jakieś stare zdanie do rozbioru?  
Choćby szukał racji i pretekstów  
I tak zawsze pozostanie na uboczu –  
Mniej się ceni analizę tekstu  
Od banalnej analizy moczu...  
Cera błada, na portkach łaty,  
Różne braki w kondycji,  
Oświeceniem nie oświecisz sobie chaty,  
Pozytywizm nie poprawi twej pozycji.  
Poloniście sterczą chude żebra  
Jak sztachety mizernego płotu,  
Gdy się jeden raz u Zuzi rozebrał,  
To się składał z orzeczenia i z podmiotu.  
A jak inny zleciał kiedyś z ławki,  
Bo był gapa wyjątkowa i niezguła,  
To zostały zeń cztery przydawki,  
Dwa zaimki i partykuła...  
Polonista, niepoprawny romantyk,  
Nie największym się cieszy miernem,*

*Ale ja mu – laury i akanty,  
Ale ja mu – kadzidło i mirrę!  
Ale ja go całuję w ramię,  
Ale ja go podziwiam i cenię,  
A ty przed nim na kolana, chamie,  
Cały w złocie i volkswagenie!  
Bo jeżeli jesteś i ja jestem,  
To dlatego, że stojący na warcie  
Polonista znużonym gestem  
Kartki książek wertował uparcie  
Za kajzera i za Hitlera,  
I za cara, i za innych carów paru,  
I dlatego właśnie nie umiera  
Coś ważnego, co nazywa się Naród.  
Więc zamieszczam na końcu listu  
Ja, satyryk, błazen i ladaco,  
Zdanie proste: – Kocham polonistów!  
Rozwinięcie zdania: –  
... bo jest za co!*



Wesołych wakacji, Koleżanki i Koledzy!

PIOTR SZYDŁOWSKI

## Fenomenologiczna etyka wartości Maksa Schelera (1874–1928)

Chcąc zrozumieć prezentowany tu problem filozoficzny, musimy przynajmniej ogólnie poznać fenomenologię jako jedną z wielu metod badania rzeczywistości. Uczciwie uprzedzam moich młodych Czytelników, że nie jest to filozofia łatwa, operuje bowiem pojęciami dotychczas w naszym cyklu filozoficznym niespotykanymi. Jest trudna, ale możliwa do zrozumienia, a kto wie... może nawet do polubienia.

### 1. Charakterystyka fenomenologii

Inicjatorem i twórcą tego dwudziestowiecznego nurtu filozoficznego był Edmund Husserl (1859-1938), filozof niemiecki, profesor w Getyndze i we Frankfurcie Badeńskim. Większość jego prac filozoficznych pozostała w rękopisie i wydana została po jego śmierci. Jedną z nich przytoczę dla zainteresowanych Czytelników, wydaną w tłumaczeniu na język polski: *Kryzys nauk europejskich i fenomenologia transcendentna: wprowadzenie do filozofii fenomenologicznej*, tłum. Sławomira Walczewska, wyd. Rolewski, Toruń 1999.

Fenomenologia jest metodologią badań, należąca do działu filozofii zwanego gnoseologią, czyli teorią poznania; działu bardzo ważnego, ale też bardzo trudnego wśród wszystkich innych działów filozofii. Pamiętajmy, że termin „fenomenologia” stosowany jest przez różnych autorów, ale u każdego z nich znaczy co innego. U Husserla fenomenologia to nauka o zjawiskach (fenomenach) będących przedmiotem poznania. Husserl, marząc o filozofii jako wiedzy uniwersalnej i absolutnie uzasadnionej, podjął krytykę dotychczasowej filozofii i zaczął myśleć „od nowa”. Zastosowana

przez niego metoda fenomenologiczna miała wyjaśnić, jak dojść do celu (mówiąc nieco obrazowo) idąc wzdłuż drogi i nie zbaczając z niej nawet na chwilę.

Fundamentem tej metody miały być tzw. „bezpośrednie dane”, czyli informacje o badanej rzeczywistości docierające do nas bezpośrednio, czyli bez jakichkolwiek pośredników, mianowicie bez wcześniej funkcjonujących w nas pojęć, teorii, języka filozoficznego, bez wcześniejszych interpretacji i jakichkolwiek innych uprzedzeń. Świadomość człowieka poznającego winna być czysta, „pusta”, tzn. nie wypełniona czymkolwiek, co mogłoby przeszkodzić w bezpośrednim, eidetycznym (tj. wiernym) oglądzie badanej rzeczywistości, danej człowiekowi bezpośrednio. Metoda ta różni się od stosowanej dotychczas w badaniach bezzałożeniowością, odrzuca bowiem wcześniej przyjęte założenia, domysły, teorie, spekulacje; po to, by bez uprzedzeń przyjrzeć się światu takiemu jaki on jest naprawdę.

Ma temu służyć tzw. redukcja fenomenologiczna. Polega ona na wzięciu w nawias, na zawieszeniu przekonania o realnym istnieniu świata i poznającego podmiotu (człowieka).

Owa redukcja fenomenologiczna zawieszają sady o świecie i stosuje w procesie poznania tak zwaną analizę eidetyczną. Tu dotykamy istoty fenomenologii. Analiza eidetyczna polega na uchwyceniu istoty badanego zjawiska (gr. *eidos* = istota), istoty tego co jest umysłowi dane w bezpośrednim zetknięciu z badanym zjawiskiem, a dane mu jest dotarcie do istoty badanego obiektu, czyli dane mu jest widzenie istotnościowe.

Badaczowi dana jest czysta istota zjawiska w tzw. naoczności istotnościowej, badaczowi bowiem w procesie badania jawią się fenomeny. W czystej, niczym nieskażonej swojej świadomości badacz dociera do istoty rzeczy. A istota rzeczy, to według Husserla coś ogólnego, danego bezpośrednio, intuicyjnie, to byt idealny, wolny od wszelkich czasoprzestrzennych określeń. Poznajemy go intuicyjnie. Po łacinie *intueri* znaczy „zaglądać we wnętrze” czegoś. Intuicja jest pierwotnym i niezastąpionym źródłem całego poznania, nie można bowiem przeprowadzać żadnych rozumowań jeśli intuicja (wgląd we wnętrze) nie dostarczy dla nich przesłanek. Intuicyjne poznanie polega więc na tym, że umysł w analizie eidetycznej wchłania w siebie to, co świat, czyli badany obiekt, ze siebie ukazuje. Trudne to wyjaśnienie? Oczywiście trudne, ale inne być nie może.

Tytułem dopuszczalnej dygresji dodam, że owo podejście fenomenologiczne zostało zastosowane również w badaniach nad historią, etnografią i antropologią religii. Zapoczątkowane badania nad religiami przez Gerarda van der Leeuw'a (1890-1950) i Mircea Eliade'go (1907-1986) stanowiły początek nowoczesnego naukowego religioznawstwa, z którego wyodrębnił się jego dział specjalny zwany fenomenologią religii.



Kończąc prezentację fenomenologii wypada wskazać na inne jeszcze nazwiska stosujące tę metodę badań, mianowicie: Martin HEIDEGGER (1889-1976), profesor Uniwersytetu we Fryburgu, autor *Sein und Zeit (Bycie i czas)*, a w Polsce Roman INGARDEN (1893-1970), profesor i rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, autor m.in.: *Przeżycie, dzieło, wartość*, 1966; *Spór o istnienie świata*, t. I i II, 1947 i 1948; *O dziele literackim*, 1960, *Książeczka o człowieku*, 1975. Józef TISCHNER (1931-2000), napisał *Myślenie według wartości*, 1993; *Wobec wartości*, 2001; *Fenomenologia polska a chrześcijaństwo*, 2014; Karol WOJTYŁA (1920-2005) swoją rozprawę habilitacyjną *Ocena możliwości zbudowania etyki chrześcijańskiej przy założeniach systemu Maxa Schelera* opublikował w Tow. Naukowym KUL w 1950 r. Poza Polską metodę fenomenologiczną stosowano również w innych dziedzinach badań. Podczas gdy Edmund Husserl zastosował ją do teorii bytu, to Maurice MERLEAU-PONTY (1908-1961) zastosował ją w antropologii filozoficznej; Moritz GEIGER (1880-1937) i Aleksander PFANDER (1870-1941) stosowali ją w swoich badaniach psychologicznych; a najbardziej nas tu interesujący Maks Scheler w aksjologii i budowanej na niej fenomenologicznej etyce.

Maks (w wersji oryginalnej: Max) Scheler studiował w kilku ośrodkach filozoficznych, a w Jenie obronił rozprawę

habilitacyjną pt. *Metoda transcendentálna i psychologiczna*, którą zainicjował własne badania fenomenologiczne. Badacze jego działalności naukowej zwracają uwagę na jego zróżnicowany stosunek do religii, zwłaszcza katolickiej. Matką jego była kobieta wyznania mojżeszowego, ojciec protestantem, a sam Maks, żeby móc się ożenić, przyjął w roku 1899 chrzest. Do katolicyzmu jednak zbliżył się wewnątrznie w czasie późniejszym, tuż przed i w czasie pierwszej wojny światowej (1914-1918). W latach 1913-1916 opracował i opublikował rozprawę *Formalizm w etyce i materialna etyka wartości*, dzięki której był traktowany w środowiskach uniwersyteckich jako jeden z najwybitniejszych myślicieli katolickich. W roku 1921 opublikował rozprawę z filozofii religii *O tym co wieczne w człowieku*. Miewał jednak Scheler wahania światopoglądowe, odchodzenie od wiary katolickiej i do niej powracanie, sympatyzował z panteizmem, miewał wypowiedzi wręcz ateistyczne.

Ponieważ etyka, zwana również filozofią moralną, ze swej natury służy człowiekowi, to powstaje pytanie o jakość Schelerowskiej propozycji antropologicznej, o jego rozumienie ludzkiej jednostki.

## 2. Antropologia Maksa Schelera



Zanim zaproponował własną koncepcję człowieka Scheler odrzucił koncepcje funkcjonujące dotychczas w historii filozofii i judeo-chrześcijańskiej teologii. Odrzucił najpierw bardzo popularny w chrześcijańskiej Europie mit o stworzeniu i umieszczeniu

w raju pierwszej pary ludzi, Adama i Ewy, oraz opowiedziany w „Księdze Rodzaju” (rozdz. II i III) przebieg upadku moralnego pierwszych rodziców, którzy skutki tego upadku przekazali swoim potomkom w drodze naturalnego rodzenia. Odrzucając ten mit, Scheler dostrzegł potrzebę jakiegoś psychoanalityka, który by uwolnił człowieka od poczucia ciężącej nad nim winy; nie swojej, lecz Adama i Ewy. Następnie odrzucił Scheler sposób pojmowania człowieka przez Platona i Arystotelesa (IV w.p.n.e.) jako *ó άνθρωπος ó σοφός* (łac. *homo sapiens*), czyli jako istotę rozumną, gdyż według starożytnych filozofów greckich człowiek uczestniczy jedynie w ponadludzkiem rozumie, będącym fundamentem całego wszechświata. Odrzucił też pojmowanie człowieka (głównie przez antropologów) jako *homo faber*, takie bowiem rozumienie człowieka nie różni go od zwierzęcia.

Nie akceptował pojmowania człowieka jako „dezertera życia”. Nazywał człowieka dezerterskim za jego udział w chorośliwym rozwoju cywilizacji. Takiego człowieka nazywał również „ślepy m zaułkiem ewolucji”, schorzałym na duszy, idącym drogą śmierci ku zagładzie. Wreszcie odrzucił pojęcie „pozytywnego nadczłowieka”, wypracowane przez Dietricha Heinricha Kerlera (w jego *Weltwille und Wertwille*, 1926) oraz Nikolaia Hartmanna (w *Ethik*, 1926), nie mające jednak nic wspólnego z „nadczłowiekiem” (*Übermensch*) Nietzschego (!). To owym „pozytywnym nadludziom” – uważał Scheler – bohaterom i geniuszom ludzkości należy się pełnia czci, miłości i ubóstwienia okazywanego kiedyś... bóstwom. Bóg może i powinien nie istnieć, aby istniała odpowiedzialność i wolność, aby istniał sens ludzkiego bytu. Niektórzy badacze poglądów

Schelera dopatrują się w tych wypowiedziach nuty ateizmu, jako efektu wyżej wspomnianych jego własnych wahań światopoglądowych.

Odrzucając nie akceptowane przez siebie koncepcje człowieka Scheler uważał jednak człowieka i cały świat ludzki za centralny problem filozofii. Pytając o istotę człowieczeństwa określał człowieka jako *ens amans*, czyli byt kochający, emocjonalny, zainteresowany wartościami i Bogiem. Dlatego rozwijał fenomenologię uczuć i filozofię miłości, aksjologię i etykę. Uważał bowiem, że dla człowieka jako bytu kochającego najważniejsze jest obcowanie z wartościami, a za wartość szczególną uważał Boga i dlatego rozwijał również filozofię religii i filozofię Boga. Pisał w *Stanowisku człowieka w kosmosie* (tłum. A. Węgrzecki, Warszawa 1987): „Kwestie: czym jest człowiek i jakie jest jego stanowisko w bycie zajmowały mnie od pierwszego przebudzenia mojej świadomości filozoficznej znacznie bardziej, aniżeli wszelkie inne zagadnienia filozoficzne”. Syntetycznie ujmuje problem człowieka w filozofii Schelera znawca jego filozofii Jan Galarowicz, gdy pisze w swojej *Fenomenologicznej etyce wartości* (1997, s. 43): „Posługując się metaforą drzewa można by rzec, że pniem filozoficznej myśli Schelera jest antropologia filozoficzna, a jej główne konary to filozofia miłości, aksjologia i etyka, oraz filozofia religii i filozofia Boga”.

Scheler usiłuje zrozumieć „człowieka w nim samym”, dlatego uważa, iż tym co wyróżnia człowieka ze świata zwierząt nie jest psychika, lecz transcendujący życie duch. Tradycyjna antropologia wyróżniała w człowieku dwie warstwy składowe: cielesną (materialną) i duchową (niematerialną, czyli psychiczną, określaną jako dusza). Scheler natomiast dostrzega w człowieku trzy warstwy

składowe: cielesną, psychiczną i duchową (tj. osobową). Badacze antropologii Schelera nazywają ten jego pogląd *monizmem witalistycznym*, ale w tym monizmie witalistycznym lokuje Scheler kolejny, nowy dualizm: przyrodniczy „pęd” i transcendującego przyrodę „ducha”.

W swojej rozprawie *Istota osoby moralnej* Scheler wymienia warunki, jakie muszą być spełnione, by człowiek został uznany za osobę, mianowicie: 1. musi posiadać pełnię władz umysłowych (nie być obłąkanym), ulokowanych w jego centrum duchowym, funkcjonujących intencjonalnie; 2. musi być pełnoletnim (ale nie w sensie posiadania określonej ilości lat), która to pełnoletniość polega na możliwości przeżycia różnicy między własnymi a cudzymi aktami woli, uczucia i myślenia (u człowieka pełnoletniego jego centrum osobowe znajduje się w nim samym, u niepełnoletniego w kimś innym, np. w ojcu, matce...); 3. musi panować nad własnym ciałem (nad własnym ciałem może panować tylko ten, kto jest samodzielny w stosunku do sfery psychowitalnej, tzn. może posługiwać się swoim ciałem do spełniania czynów zainicjowanych przez akt woli).

Aby człowiek mógł istnieć w sposób osobowy, musi prawidłowo funkcjonować jego ciało i psychika, bez czego człowiek będzie niepoczytalny. Odpowiedzialność i nieodpowiedzialność są fenomenami sfery osobowej, moralnej człowieka, a nie psychowitalnej. Jako „duch” natomiast człowiek jest otwarty wobec świata, może wnikać w różne sfery bytu, wykrywać istotę rzeczy, poznawać wartości i kierować się ku nim. Centrum ludzkiego ducha jest osoba, którą Scheler określa tak: „Osoba jest raczej bezpośrednio współprzeżytyą jednością przeżywania, nie jakąś tylko pomyślaną rzeczą poza tym, co bezpośrednio

przeżyte” (cyt. za A. Węgrzecki, *Struktura człowieka*, s. 57). Osoba ma charakter dynamiczny i jest czymś więcej od ogółu stanowiących ją aktów, bo – jak pisze Scheler – osoba „przenika swoim charakterem każdy akt i ostatecznie indywidualizuje człowieka”. Osoba jest też nosicielem wartości etycznych: wartości określonych wyrazami „dobry” i „zły”.

W przestrzeni osobowej Scheler wyróżnia dwie sfery: intymną i społeczną, między którymi to sferami może zachodzić harmonia lub dysharmonia. Człowiek – w antropologii Schelera – jest „poszukiwaczem Boga”, jest „gestem samej transcendencji”, a tego Boga Scheler pojmuje raz tradycyjnie teistycznie, innym razem panteistycznie jako „byt stający się”, którego atrybutami są „pęd” i „duch”.

Charakteryzując osobę ludzką Scheler mocno podkreśla – co będzie bardzo znaczące, gdy będziemy poznawać wartości – ważność i nadrzędność uczuć ludzkich wobec innych rodzajów przeżyć. **W a r t o ś c i** b o w i e m – jego zdaniem – s ą n a m d o s t ę p n e w a k t a c h e m o c j o n a l n y c h, a w t y c h a k t a c h i s t o t n ą r o l ę o d g r y w a p o r z ą d e k m i ł o ś c i (serca). Fundamentalnym bowiem prauczuciem człowieka jest miłość.

Pracując nad etyką Maks Scheler nie tworzy jednak etyki kodeksowej, pouczającej o wadach, których należy unikać, ani o cnotach, które należy praktykować. Nie mówi też o sankcjach za określone postępowanie moralne. Tworzy natomiast fenomenologiczną etykę wartości zwaną również „materialną” etyką wartości, którą wcześniej zainicjował Franz Brentano (1838-1917) poddając krytyce formalizm etyczny Kanta i dowodząc, że źródłem poznania moralnego jest intuicja. Swoją koncepcję Scheler ukazał w głównym swoim dziele pisanym przez

cztery lata (1913-1916) pt. *Formalizm w etyce a etyka materialna*. Powołuje się w nim na indywidualne osobiste odczuwanie wartości przez każdego człowieka, które to wartości uznaje za fundament swojej koncepcji etycznej.

### **3. Natura i hierarchia wartości w fenomenologicznej etyce Maksa Schelera**

Najpierw, czym są owe wartości, które Scheler uznaje za fundament swojej „materialnej” etyki, opartej na obiektywnie istniejącym i absolutnym królestwie wartości? Lektura tekstów Schelera, a zwłaszcza lektura wszystkich jego komentatorów, to jakby chodzenie po dżungli bogatej we florę i faunę, w której czytelnik niebędący specjalistą w filozofii kończy ten „spacer” zniechęceniem i rezygnacją z lektury. Stwierdza, że „dżungla” jest nieprzejrzysta, lektura tekstów niezrozumiała, więc zamyka książkę i odkłada ją na półkę. W ten sposób kończy badanie Schelerowskich dociekań aksjologicznych. Teksty jego są bowiem trudne, a teksty jego komentatorów... tylko trochę mniej trudne. Spróbujmy jednak jakoś je uprzystępnąć młodemu Czytelnikowi.

Krytykując etykę Kanta za jej charakter formalny Scheler zauważa, że Kant wprawdzie uczy j a k p o s t ę p o w a ć, ale nie uczy, c o n a l e ż y c z y n i ć. Jego formalny imperatyw kategoryczny (tu dygresja: należy cofnąć się do nr 74 FORUM MYŚLI WOLNEJ i poczytać tam – na s. 11-12 – o etyce Kanta!) jest treściowo pusty, brak w nim „materii”, czyli treści etycznych, nakazuje bowiem wykonywanie obowiązków, ale nie mówi na czym te obowiązki polegają (brak im treści „materialnej”). Ten właśnie defekt etyki Kanta Scheler uzupełnia t r e ś c i a m i, k t ó r y m i s ą w a r t o ś c i. Są to obiekty aprioryczne i nieformalne, będące j a k o ś c i a m i.

Nie etyka Kanta, lecz Schelerowska materialna etyka wartości uczu, co należy czynić, jakie treści materialne wypełniają moralne normy. Normy moralne pojawiają się bowiem i funkcjonują wtedy, gdy człowiek w swoim praktycznym postępowaniu ustosunkowuje się do wartości. Poznając je, skierowuje na nie swoje chcenie i działanie. Nie musi już stosować się do Kantowskiego imperatywu. Wystarczy wyczuć wartość, by postępować dobrze. A tymi nosicielami wartości moralnych są również cnoty i przywary człowieka. Stosunek człowieka do wartości wypełnia moralną treść etyki Schelerowskiej.

Maks Scheler, posługując się metodą fenomenologiczną bezpośredniego wglądu w istotę, starał się dotrzeć do tego co idealne, a idealne były w jego myśleniu wartości jako fundament etyki „materialnej”. Redukcja fenomenologiczna doprowadziła go do uchwycenia istoty wartości, które są niezawisłe od świadomości człowieka poznającego. Wartości istnieją obiektywnie (poza świadomością człowieka), podobnie jak istnieją inne rzeczy realne bądź prawdy matematyczne. Są one właściwościami (cechami) rzeczywistego świata. W ich naturze leży to, że są wartościami, a natura ta nie jest zależna od uznania bądź nieuznania człowieka.

W wyniku obserwacji natury ludzkiej i ludzkich przeżyć psychicznych oraz doświadczeń moralnych Scheler wyróżnia trzy rodzaje wartości: hedonistyczne, estetyczne i etyczne. Wartości te człowiek poznaje w aktach emocjonalnych, które są aktami doświadczenia aksjologicznego. Akty te otwierają dostęp do wartości, pozwalają uchwycić specyfikę wartości i dostrzec zachodzące między nimi zależności. Dostrzega więc Scheler i wyróżnia cztery warstwy życia

emocjonalnego człowieka: 1. Uczucia zmysłowe, takie jak głód, ból, pragnienie – są one zlokalizowane w ciele i nie posiadają charakteru przeżycia emocjonalnego, są bowiem stanami nieodłącznymi od treści wrażeńiowych. Uczucia te kierują człowieka na wartości hedonistyczne. 2. Uczucia witalne, które również są przeżyciami emocjonalnymi i zlokalizowane są w całym organizmie człowieka; dzięki nim człowiek odczuwa moc, słabość, zdrowie i chorobę. 3. Uczucia psychiczne, które są zlokalizowane w jaźni człowieka i niezależne od ciała, ale są dostępne emocjonalnej sympatii człowieka. 4. Uczucia duchowe. One nigdy nie mogą być stanem, lecz są aktami osoby ludzkiej. Odnoszą się do wartości absolutnych i mogą być przeżywane jedynie całym istnieniem człowieka, całą jego osobowością. Są one najwyższą i najdoskonalszą formą życia emocjonalnego. Te właśnie uczucia duchowe są zakorzenione w osobie ludzkiej, skierowane ku jej wartościom moralnym i stanowią podstawę jej przeżycia moralnego.

Uczuciem najważniejszym wśród uczuć duchowych jest miłość. Pisał Scheler w *Istocie i formach sympatii*: „Miłość jako przeżycie emocjonalne jest niedefiniowalna, może być jedynie bezpośrednio doświadczana. Miłość jest ruchem, w którym każdy konkretny indywidualny przedmiot noszący wartości dochodzi do możliwych dla niego najwyższych wartości, albo osiąga on swoją idealną istotę w aspekcie wartości, która jest dla niego właściwa”.

Miłość jest podstawowym przeżyciem aksjologicznym skierowanym na wartości. Przedmiotem miłości może być tylko to, co jest nosicielem wartości, a do wartości człowiek może odnieść się dwojako – przez miłość albo przez nienawiść. Ale uwaga! Chociaż miłość jest

przeżyciem twórczym, to jednak nie tworzy ona wartości. Królestwo wartości jest transcendentne wobec ludzkich przeżyć i wobec miłości. Miłość jest tylko pracuciem otwierającym człowiekowi drogę do poznania wartości.

Sama w sobie miłość nie jest jeszcze aktem etycznym, jest moralnie obojętna. Jest natomiast miłość podmiotem dobra, w tym również dobra moralnego, umożliwia bowiem kontakt z wartością umiłowanego przedmiotu. Miłość nabiera znaczenia aktu etycznego dopiero wtedy, gdy zwraca się do osoby jako swego przedmiotu. Według Schelera miłość w znaczeniu moralnym może zwracać się w dwóch kierunkach – do własnej osoby bądź do innej osoby. Gdy zwraca się do własnej osoby, jest miłość źródłem moralnego ideału, a gdy kieruje się na innego człowieka, prowadzi do naśladowania go.

Każdy człowiek posiada swój ideał moralny, mający charakter indywidualny. Jest to wzór osobowy, którego naśladowanie jest najlepszą drogą wiodącą do doskonałości. Kochając, człowiek jest skierowany na wartości wyższe, a ostatecznie na wartość najwyższą, którą jest Bóg. W ten sposób dobro moralne polega na wybieraniu zawsze wartości wyższych, a ostatecznie wartości najwyższej. Natomiast zło moralne zachodzi wtedy, gdy na miejscu absolutnego dobra (wartości najwyższej) stawia się dobra skończone (wartości niższe). Ostateczną wartością najwyższą i wzorem do naśladowania jest – w etyce Schelera – Bóg w osobie Jezusa Chrystusa. Nic więc dziwnego, że tą etyką zainteresował się Karol Wojtyła.

Wartości są jakościami idealnymi. Próba zdefiniowania wartości jest z góry skazana na niepowodzenie. Wartość może być jedynie dana w doświadczeniu fenomenologicznym, a treści doznanej

w doświadczeniu fenomenologicznym wartości nigdy nie da się zdefiniować.

Świat wartości jest bogaty i zróżnicowany. Panuje w nim ład aksjologiczny. Między wartościami zachodzą związki pozytywne i negatywne. Każda wartość pozytywna ma swój odpowiednik negatywny, znajdujący wyraz w mowie, np. piękny – brzydki, dobry – zły, szlachetny – nieszlachetny, życzliwy – wrogi, itp. Nie istnieją w wartościach neutralne. Jeśli coś jest wartością, to jest wartością albo pozytywną albo negatywną.

Wartości mają układ hierarchiczny. Mają swego nosiciela, swój podmiot. Nosicielem wartości jest wszystko to, co może być podmiotem wartościowania. Nosicielami wartości są osoby lub rzeczy. Te dwa typy wartości się wykluczają. Do wartości osoby Scheler zalicza wartość samej osoby oraz cnoty. Do wartości dóbr rzeczowych zalicza wartości dóbr materialnych (przyjemnościowych i użytecznościowych), wartości dóbr cennych pod względem witalnym (np. dobra gospodarka, lekarstwa, rozrywka) oraz wartości dóbr duchowych (np. dzieła sztuki, nauki). Wprowadza też podział wartości na własne i cudze, indywidualne i kolektywne, pierwotne i pochodne.

Najważniejszy jest podział wartości ze względu na ich treść. Scheler wymienia ich cztery grupy: hedonistyczne, witalne, duchowe i religijne. Są one względem siebie niezależne. Każda z nich stanowi ostateczną i nieredukowalną do niczego innego jakość. Scheler daje krótką ich charakterystykę.

**WARTOŚCI HEDONISTYCZNE.** Pozytywną wartością hedonistyczną jest przyjemność, negatywną – nieprzyjemność. Przyjemność może występować tylko w sferze zmysłów i należy do przyjemności pierwotnych.

WARTOŚCI WITALNE są samodzielnym rodzajem wartości. Ich nosicielami mogą być rzeczy (ciało ludzkie), witalny stan uczuciowy (poczucie zdrowia, choroby, mocy lub słabości), radość, gniew, niepokój.

WARTOŚCI DUCHOWE dzielą się na trzy rodzaje: a) wartości estetyczne – wartość tego, co piękne i tego, co brzydkie; b) wartość tego, co słuszne i tego, co niesłuszne, będące podstawą obiektywnego porządku prawnego, niezależnego od systemów politycznych; c) wartości poznania prawdy: nie prawda jest wartością, lecz tylko samo poznanie prawdy. Wartości duchowe mogą wyrażać się w postaci uczuć, np. w postaci duchowej radości lub duchowego smutku.

WARTOŚCI RELIGIJNE – są to wartości tego, co święte (sakralne) i tego co nieświęte (diabelskie). Te wartości można przypisywać jedynie bytom absolutnym. Istnieją zawsze, niezależnie od czasu historycznego. To, co święte urzeczywistnia się najpełniej w osobie Boga. Wartościami pochodnymi jest kult religijny, sakramenty, a wyrazem tych wartości może być wiara, adoracja, modlitwa. Tym religijnym wartościom odpowiadają w człowieku stany szczęśliwości bądź rozpacz, związane z bliskością lub oddaleniem się tego co święte. Wartości religijne są wartościami najwyższymi.

Maks Scheler mówiąc o wartościach, nie mówi jeszcze o moralności, ale tworzy dla moralności fundament; uważa bowiem, że jeśli człowiek wie, co jest dobre, a co lepsze, to wie również, jak należy postępować. Wartości moralne w jego filozofii nie stanowią samodzielnych jakości. Moralność – jego zdaniem – pojawia się dopiero wtedy, gdy zaczynamy wybierać między wartościami, gdy po namyśle wybieramy i realizujemy w swym postępowaniu takie bądź inne

wartości. Temu, wybierającemu między wartościami człowiekowi, Scheler prezentuje etykę „czystych wartości”, czyli hierarchiczny system wartości, którego akceptacja zaprowadzi go nie do jakiejś nowej, lecz do dobrze już znanej moralności katolickiej. Etyka Schelera jest etyką personalistyczną, a jej podstawowym zadaniem jest ukazanie istoty i funkcji świata wartości jako fundamentu moralności człowieka, istotą bowiem dobra moralnego jest respektowanie przez człowieka porządku wartości. Gdy człowiek realizuje wartość wyższą lub niższą, pojawia się w nim *n o w a j a k o ś ć a k s j o l o g i c z n a* – DOBRO lub ZŁO MORALNE.

Dodajmy na zakończenie, że – jak pisze znawca tematu Jan Galarowicz – „filozofia Schelera wywarła wpływ na polską myśl aksjologiczno-etyczną. Przede wszystkim Schelerowska etyka aksjologiczna znalazła twórczego i krytycznego kontynuatora w osobie Romana Ingardena. Scheler oddziałął mocno na Karola Wojtyłę. Poprzez Wojtyłę, a także poprzez Ingardena, Scheler wywarł wpływ na etykę katolicką w naszym kraju. Tischnerowskie „myślenie według wartości” pozostaje pod dużym wpływem tego niemieckiego etyka”. I dodaje Galarowicz: „Materialna etyka wartości nie jest, rzecz jasna, ostatnim akordem myśli etycznej, stanowi jednak jeden z najdonioślejszych kierunków etycznych zachodnioeuropejskiej filozofii (w: *W blasku godności*, Kęty 2005, s. 24). □

Czytaj: Węgrzecki Adam, Scheler, wyd. WP, Warszawa 1975.

Korzystałem m. in. z: J. Trębicki, *Etyka Maxa Schelera*, J. Galarowicz, *Fenomenologiczna etyka wartości*, M. Wędzińska, *Człowiek w drodze do wartości*, J. Makota, *Filozofia człowieka w ujęciu Maxa Schelera*.

JAN CZAJKOWSKI

## Spółeczne postulaty średniowiecznych heretyków (część 2)

### 1. JOACHIMICI

Badający dzieje średniowiecznych herezji napotyka na trochę dziwne, choć zasadniczo zrozumiałe zjawisko, kiedy to inicjatorem herezji jest mąż świątobliwy, wyniesiony przez Kościół na piedestał błogosławionego. Ostatecznie, święty czy błogosławiony, jest również człowiekiem, któremu wolno pobłądzić, tak samo jak każdemu innemu człowiekowi. Nie każdy jednak myśliciel „błądzący” dostępuje statusu świętego. Nie dostał go Orygenes, wybitny myśliciel chrześcijański z przełomu II i III wieku, który nie tylko dopuścił się z ortodoksyjnego punktu widzenia poważnych błędów doktrynalnych, ale na dodatek wytrzebił samego siebie. Został jednak uznany za świętego Aureliusz Augustyn z Tagasty, biskup Hippony (354-430), który wcześniejsze swoje błędy odwołał pod koniec życia w specjalnym dziele *Retractiones*. Owym świątobliwym mężem, któremu tutaj poświęcimy nieco uwagi, był Joachim z Fiore (inaczej: Joachimus Florensis, bądź też Gioacchino da Fiore), urodzony około 1132 roku, zmarły około 1202 roku.

Był on teologiem i filozofem, reprezentantem średniowiecznego mistycyzmu heterodoksalnego. W 1177 został opatem cystersów w Corazzo (w Kalabrii), gdzie oddawał się studiom Pisma św. Obowiązki opata przeszkadzały mu jednak w badaniach egzegetycznych, więc papież Klemens III pozwolił mu

zrezygnować z opactwa, opuścić klasztor i oddać się wyłącznie studiom biblijnym.

Wówczas Joachim osiedlił się na pustyni zwanej Flora (od nazwy której zwano go Joachimus Florensis) i tam, z dala od zgiełku świata, pracował nad naukami biblijnymi. Sława jego rosła, przybywało uczniów. Joachim założył więc nowe zgromadzenie zakonne, zwane od nazwy pustyni floraceńskim i opracował regułę, którą zatwierdził następny papież Celestyn III.

Nieortodoksyjność Joachima ujawniła się w jego komentarzach do tekstu Apokalipsy św. Jana (XIV, 6): „I widziałem drugiego anioła lecącego przez środek nieba, mającego Ewangelię wieczną, aby ją opowiadał siedzącemu na ziemi i wszelkiemu narodowi i pokoleniu i językowi i ludowi”. Komentarz swój Joachim umieścił w trzech dziełach: *Concordantia Veteris et Novi Testamenti* (Konkordancja Starego Testamentu z Nowym), *Psalterium decem chordarum* (Psałterz dziesięciostrunny), *Expositio in Apocalipsin* (Wykład Apokalipsy).

Pogrążony w mistycyzmie, Joachim podzielił całe dzieje Objawienia na trzy epoki. Pierwszą była, według niego, epoka Boga-Ojca, która obejmowała okres Starego Testamentu. Drugą, epoka Boga-Syna, która obejmowała okres Nowego Testamentu. Trzecią, epoka Boga-Ducha Świętego i Ewangelii wieczystej, w której rolę przewodnią będą odgrywali

mnisi żyjący na pustyni. Ludzkość będzie powszechnie praktykować ewangeliczne ubóstwo w powszechnym pokoju. Cały świat stanie się jednym klasztorem zamieszkałym przez świętych, a stan ten trwać będzie aż do Sądu Ostatecznego, którego nadejście przewidywał w nie długim czasie.

Joachima oskarżono o herezję chiliastyczną oraz głoszenie upadku Kościoła, a oskarżono tym łatwiej, że on sam, aczkolwiek wiódł życie świątobliwe, to jednak słowami i pismami atakował duchowieństwo wprowadzające do Kościoła zbytek i rozluźnienie dyscypliny, oraz świeckich wielmożów lekceważących kościelne prawa. Teksty jego pism różnie jednak mogły być rozumiane. Jedyne w interpretacji dosłownej trąciły herezją. Autor wszak był mistykiem, przysługiwała mu pewna „licencja mistyczna” w wypowiedziach, ponadto wiódł życie nienaganne i dlatego został uznany za błogosławionego.

Ale poglądy jego, zwane joachimizmem, wywierały wpływ na ideologię średniowiecznych, chiliastycznych sekt plebejskich i stały się inspiracją dla radykalnych wystąpień przeciw Kościołowi. Jego zwolennicy – joachimici – rekrutowali się głównie spośród przedstawicieli tzw. „lewicy franciszkańskiej” (fraticelli, tj. braciszkwowie; jeszcze inaczej: spirytuałowie) i braci apostołskich – (dulcynistów). Do jego doktryny będą nawiązywali również reprezentanci radykalnego skrzydła reformacji, zwłaszcza Tomasz Münzer.

Poglądy Joachima z Fiore kontynuowało po jego śmierci lewe skrzydło franciszkanów, interpretując je po swojemu. Należeli do niego znani nam już spirytuałowie zwani „braciszkami” (fraticelli), czyli zakonnicy nie akceptujący złagodzonej wersji ślubu ubóstwa. Jeden

z nich, Gherardino da Borgo San Donnino napisał w roku 1254 Wstęp (*Liber introductorius*) do zebranych dzieł Joachima, pod ogólnym tytułem *Evangelium aeternum* (Ewangelia wieczysta). Rozwijając po swojemu myśli błogosławionego Joachima dowodził, że około roku 1260 Duch Żywota opuści Nowy Testament, jak już dawniej opuścił Stary, i że dopiero od tego czasu ludzie będą doskonałymi, realizując naukę Joachima, zawartą w *Ewangeliu Wieczystej*, o tyle wyższą od nauki Chrystusa, o ile ta była wyższa od Starego Testamentu.

Ponadto San Donnino gwałtownie występował przeciw papiestwu, upatrując w Kościele Rzymskim ów apokaliptyczny Babilon, który winem gniewu swego poróbstwa napoił wszystkie narody, jak to napisano w Apokalipsie (XIV, 8): „A inny anioł, drugi, przyszedł we ślad mówiąc: Upadł, upadł wielki Babilon, co winem zapalczywości swego nierządu napoił wszystkie narody”. Uniwersytet Paryski oraz papież Aleksander IV (1254-1261) potępił *Liber introductorius*, jego zaś autor odpokutował to czternastoletnim więzieniem. Synod w Arles (1260) natomiast uznał stronników Joachima z Fiore za heretyków.

Zasady Joachima, doprowadzone przez jego komentatorów do skrajności, wyznawał i szerzył Piotr Oliwa, autor dzieła *Postilla super Apocalipsi* (Wykład Apokalipsy), coraz jego uczeń i obrońca Ubertinus de Casali, który jeszcze obszerniej rozwinął myśli swego mistrza w dziele *Arbor vitae crucifixae* (Drzewo ukrzyżowanego życia). Poglądy zawarte w „Ewangeliu Wieczystej” wyznawali również bracia apostołscy.

## 2. BRACIA APOSTOLSCY

Organizatorem ich był zagorzały lecz umysłowo ograniczony młodzieniec

Gerard Segarelli, którego władze zakonne nie chciały przyjąć do franciszkanów. Sam zatem ogłosił siebie osobą powołaną przez Boga do zreformowania Kościoła. W roku 1261 założył on zakon-bractwo, którego członkowie nie byli zobowiązani do klauzury. Przyjmował do niego również kobiety – jako „siostry duchowne”, co dało powód do pomówień ich o niemoralny tryb życia. Członkowie tego bractwa nazywali siebie braćmi apostołskimi, gromadzili się bowiem wzorem Apostołów na modlitwę i śpiewanie pieśni pobożnych. Ponadto zapowiadali rychłe przyjście Królestwa Bożego i realizowali ideał skrajnego ubóstwa jako jedyną doskonałą formę życia chrześcijańskiego.

Segarelli był niecierpliwy i postanowił ten upadek przyspieszyć. Podróżował więc po Dalmacji (tereny dzisiejszej Jugosławii) i Tyrolu (kraina związkowa położona między dzisiejszą Austrią, Szwajcarią i północnymi Włochami), oraz werbował zwolenników, często zwykłych włóczęgów i rabusiów żądnych łupów. Zgromadził ich wreszcie w Piemoncie w mieście Novara i w roku 1304 wypowiedział otwartą wojnę Kościołowi, rabując i niszcząc świątynie. Rzymu nie obalił, przyjścia Królestwa Bożego nie przyspieszył, ale niewątpliwie przyspieszył swoją zgubę.

Biskup miasta Vercelli (starożytne Vercellae) ogłosił bowiem przeciw niemu krucjatę w roku 1307. Bracia apostołscy zostali rozgromieni i wycięci w obozie warownym pod Górą Zabarella, a Fra Dolcino i jego „siostra duchowna” Małgorzata zostali wzięci do niewoli i spaleni żywcem na stosie.

### 3. TANCHELMIANIE

Nazwa pochodzi od wędrownego kaznodziei Tanchelma, który działał we

Flandrii i dolnej Nadrenii. Jego zwolennicy stanowili podobno grupę trzech tysięcy osób, nie licząc przygodnych słuchaczy. Podobnie jak Henryk z Lozanny, Tanchelm podważał autorytet kleru, atakował jego nadmierne bogactwo i odwodził ludzi od płacenia Kościołowi dziesięcin. Tego kler ścierpieć już nie mógł. Działając głównie w ośrodkach miejskich, wspomagał dążenia mieszczan do większych swobód i do uwolnienia się od jarzma feudalnego.

Tanchelma schwytali zwolennicy arcybiskupa Kolonii i osadzili w więzieniu. Gdy z niego uciekł, został zamordowany – już na wolności – przez jakiegoś księdza. Do walki z tanchelmianami na płaszczyźnie doktrynalnej Kościół skierował natomiast świętego Norberta i założony przez niego zakon premonstratensów. Herezja ta z czasem zanikła.

### 4. BEGINKI I BEGARDZI

W wiekach średnich powstawały również, obok zakonów, stowarzyszenia czy bractwa świeckie, których członkowie nie składali ślubów ani też nie byli zobowiązani do życia w klasztornej odosobnieniu. Wiedli oni życie w jakimś sensie wspólne i ascetyczne w tak zwanych *beginariach*, czyli dworkach, opasanych murem bądź parkanem. Organizatorem takiego – poniekąd wzorcowego bractwa w Liège był około 1180 roku kaznodzieja Lambert le Begue (bądź Beghe), którego nazwisko zmodyfikowane dało właśnie owym bractwom miano beginek bądź begardów.

Początkowo mieszkankami owych dworków były kobiety, zwłaszcza panny i wdowy, jakich w okresie wypraw krzyżowych było bardzo wiele, tak, że w jednym beginarium nierzadko przebywało ich kilkaset. Żyły one pod kierownictwem przełożonej i pod opieką miejscowego

proboszcza, zarabiając na życie różnymi pracami ręcznymi i ucząc nierzadko ubogie dziewczęta zawodu. Żadnego ubioru zakonnego nie nosiły, w każdej chwili mogąc wspólnotę opuścić i wyjść za mąż. Beginaria zakładane były szczególnie w Belgii, skąd dopiero rozpowszechniły się na Francję, Włochy i Niemcy.

Na wzór tych wspólnot kobiecych zaczęły około roku 1215 zawiązywać się w Niderlandach i Francji bractwa męskie, których członkowie byli również zwani beginami bądź begardami. Żyli tak samo z pracy rąk własnych i wykorzystywani byli do niższych posług przy kościołach.

Środowiska beginek i begardów, początkowo ortodoksyjne, z biegiem czasu zostały „zainfekowane” różnymi poglądami heretyckimi. Do ich wspólnot zaczęli przenikać fraticelli ścigani przez Inkwizycję – łatwiej bowiem było schronić się i przetrwać w większej gromadzie, cieszącej się dobrą opinią. Ponadto, wśród beginek i begardów, ludzi w sumie biednych i upośledzonych przez działania wojenne, zaczęły znajdować posłuch poglądy, zwane „herezją wolnego ducha”.

Pochodzili oni z warstw plebejskich i byli głosicielami plebejskiej ideologii społecznej, groźnej dla panującego ustroju społecznego. Pod wpływem katarów łączyli oni panteistyczną mistykę z postulatami reformy społecznej. Istotą tej herezji było przekonanie o osobistej doskonałości, płynącej ze zjednoczenia z Bogiem. Owa jedność z Bogiem w ich przekonaniu dawała im całkowitą wolność od grzechu – wszak człowiek zjednoczony z Bogiem już nie może grzeszyć. Osiąga boskość i staje się jakby Bogiem. Dlatego może robić co chce, nawet to, co jest zabronione przez prawo czy obyczaje.

Wychodząc z takich zasad, bracia i siostry wolnego ducha wyciągali wnioski dalsze, godzące w normy społeczne, w Kościół i jego doktrynę. Jako ludzie zjednoczeni z Bogiem, nie odczuwali oni potrzeby korzystania ze środków zbawienia podsuwanych przez Kościół. Odrzucali więc chrzest, bierzmowanie, pokutę, ostatnie namaszczenie i kapłaństwo, kult świętych, modlitwy i post. Odrzucali wiarę w piekło i czyściec, w Trójcę Świętą i dziewictwo Matki Boskiej. Kościół zaś uważali za instytucję całkowicie zbędną.

Krytycznie również odnosili się do Pisma świętego. Uważali, że każdy człowiek powinien kierować się raczej swoim wewnętrznym przekonaniem niż tekstami Ewangelii interpretowanymi przez Kościół. Interpretując subiektywnie Pismo św. odchylali się od jego oficjalnej wykładni i wymykali się spod wychowawczej inspiracji hierarchii kościelnej.

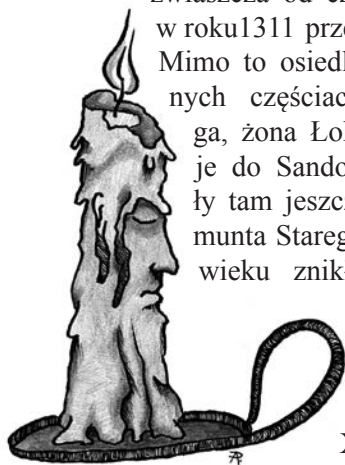
Co więcej, naruszali oni feudalny porządek społeczny. Uważając się za zjednoczonych z Bogiem, a przez to całkowicie wolnych, nie czuli się związani żadnym prawem, ani kościelnym ani państwowym. Atakując zaś własność prywatną, podkopywali fundamenty społeczeństwa feudalnego. Głosili, że wszystko jest własnością wspólną, z której każdy, w razie potrzeby, może korzystać.

Nic więc dziwnego, że Święta Inkwizycja wnet przystąpiła do działania. Jedną z pierwszych grup braci i sióstr wolnego ducha odkryto około 1270 roku w Ries w Szwabii. Prowadząc staranne poszukiwania zaczęto też wykrywać ich we wspólnotach beginek i begardów. Zaczęto więc prześladować i jednych i drugich. Poglądami ich zajmował się w roku 1306 synod w Kolonii oraz w 1311 roku XV Sobór Powszechny w Vienne. Poglądy ich potępiono jako heretyckie,

a Święta Inkwizycja przystąpiła do tortur, wydawania wyroków i palenia na stosie. Władza duchowna zamknęła i zlikwidowała wiele beginiów, ponieważ jednak nie wszystkie ich ośrodki były zakazane herezją, papież Jan XXII wziął pod swoją opiekę te beginie, które herezji nie uległy. Liczba beginiek ortodoksyjnych zaczęła nieco się zwiększać, ale nigdy już nie osiągnęły poziomu wcześniejszego rozkwitu. Mimo to w roku 1650 papież Innocenty X zlikwidował ich resztki.

Uciekając przed prześladowaniem, beginie i begardzi dzielący poglądy braci i sióstr wolnego ducha udawali się do Czech i na Morawy, gdzie jeszcze istniała większa swoboda wyznaniowa. Stworzyli tam swoją korporację i podobno mieli swego arcybiskupa oraz siedmiu biskupów. Wkrótce jednak wystąpili przeciw nim inkwizytorzy dominikańscy, wielu pozamykali w więzieniu, a 14 spalili w Pradze. Biskup praski Jan nakazał jednak uwięzionych uwolnić i zakazał dalszego ich prześladowania.

W Polsce pojawiły się beginie już wkrótce po swoim powstaniu na Zachodzie i osiedliły się najpierw w diecezji chełmińskiej. Biskup kujawski nawet pozwolił im zbudować klasztor w Złotorzy. Ale i tu były one prześladowane, zwłaszcza od czasu potępienia ich w roku 1311 przez Sobór w Vienne. Mimo to osiedlały się one w różnych częściach kraju, a Jadwiga, żona Łokietka, sprowadziła je do Sandomierza. Przebywały tam jeszcze za czasów Zygmunta Starego. Od połowy XVI wieku znikły u nas wszelkie o nich informacje. Szcątki ich przetrwały w Niderlandach do końca



XVIII wieku.

## 5. HUSYCI

### a) Geneza i uwarunkowania historyczne

Husyci w zakresie tez religijnych byli kontynuatorami poglądów Wiklefa. Podobnie jak on, pojmowali Kościół nie jako instytucję widzialną i zhierarchizowaną, lecz jako społeczność wiernych wybranych przez Boga i Bogu służących w czystości swych obyczajów. Odrzucanie hierarchii powodowane było zepsuciem jej obyczajów, które nie tylko w ówczesnej Anglii i Czechach, ale w całym Kościele rzucało się w oczy. Przeciwnościem hierarchii był prosty lud wierzący, który jedynie – zdaniem Husa – zdolny był uratować prawdziwą wiarę Chrystusową.

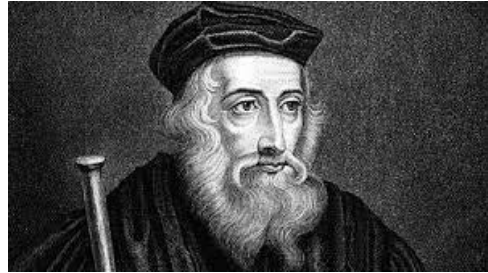
Poglądy Wiklefa przenikały do Pragi czeskiej przynoszone przez wędrujących po Europie studentów, przywożących ze sobą jego pisma. Jan Hus przepisywał je mozolnie, wczytywał się w nie starannie i odkrywał w nich prawdy wyjątkowo aktualne dla środowiska czeskiego.

W Czechach istniał w owym czasie silny ferment, spowodowany antagonizmami społecznymi i narodowościowymi, tworzącymi przysłowiową beczkę prochu, do której wystarczyło przyłożyć lont, by wybuchła. Wiklefowy lont przyłożył i podpalił Jan Hus, a na ową beczkę prochu składał się ucisk narodowy i wyzysk klasowy. Ucisk wobec narodu czeskiego stosowali Niemcy. Tamtejsze możnowładztwo było na ogół zniemczone, a handel miejski był w rękach bogatego patrycjatu niemieckiego. Hierarchowie duchowni byli przeważnie Niemcami. Natomiast niższe duchowieństwo było już narodowości czeskiej. Pełniło jedynie funkcje usługowe nie odnosząc z tego większych korzyści materialnych. Natomiast wyższe duchowieństwo

często piastowało po kilka godności na raz, co z wielokrotniało jego dochody materialne. Między wyższym duchowieństwem a niższym i prostym ludem istniała przepaść w stylu życia, pogarda wyższych wobec ubogich i słabych, wyzysk materialny, co powodowało wewnętrzne niezadowolenie, przekształcające się we wrogość. Powodowało to w owym środowisku nastroje buntu. Był to również czas, gdy Kościołem rządziło dwóch, a nawet trzech papieży, co było powodem głoszenia poglądów o wyższości Soboru nad papieżem; niektórzy dopatrzili się w tym szansy zaprowadzenia porządku w Kościele.

### **b) Początki ruchu husyckiego i jego przebieg**

W pierwszym okresie zaczynającej się odnowy pojawiło się dwóch działaczy czeskich – Jan Milič z Kromeriza i Matej z Janowa, do których przyłączył się z czasem Tomasz ze Stitnego. Jan Milič i Matej z Janowa wystąpili z nową koncepcją Kościoła, rozwijaną później przez Husa, nie zdeformowaną przez hierarchię kościelną. Matej natomiast, obdarzony wybitnym talentem kaznodziejskim, nawiązywał do apokaliptycznych wizji końca świata i głosił rychłe przyjście Chrystusa. Głosił, że „Kościół nie składa się z duchownych i biskupów, ale z prostych wiernych świeckich wierzących w Boga”. W ten sposób jednoznacznie kwestionował przydatność społecznej hierarchii, modyfikując w istotny sposób pojmowanie Kościoła, który w jego naukach jawił się jako zgromadzenie wierzących, osobiście kontaktujących się z Bogiem, bez pośrednictwa urzędowych hierarchów. Walczył w ten sposób, jakbyśmy to dziś powiedzieli, z klerykalizmem, czyli z tendencją do ziemskiego i politycznego panowania



kleru, kładąc jednocześnie główny nacisk na religijność ludu. Wiarę prostego ludu uważał za bardziej autentyczną od wiary zepsutego kleru. Ponieważ rozwijający się dość żywiołowo ruch odnowy wymagał dla siebie jakiegoś ośrodka, w którym mógłby się ogniskować, dwaj prażanie, kupiec i dworzanin, ufundowali w Pradze kaplicę, nazwaną Betlejemską. Stała się on ośrodkiem ruchu odnowy. W niej zwolennicy reform, nie dopuszczani do ambon w innych kościołach, mogli swobodnie głosić słowo boże w języku czeskim. W tej to właśnie kaplicy rozpoczął swą działalność Jan Hus (1369-1415). Od jego nazwiska pochodzi nazwa husytyzmu.

Kazania głosił najpierw w kościele św. Marcina na Starym Mieście, potem w kaplicy Betlejemskiej. Ciągnęły doń tłumy, Hus bowiem posiadał umysł praktyczny, język obrazowy, posługiwał się przykładami z aktualnego życia kościelnego i politycznego, stosował celną krytykę niemoralności i trybu życia kościelnych dostojników. Żeby zaspokoić także nie mieszczących się w kaplicy słuchaczy, musiał on swoje kazania wygłaszać dwa razy dziennie. Kazania te oprawione były nabożeństwami religijnymi i uzupełniane religijnymi pieśniami czeskimi. Lud czeski dowiadywał się z ambony – po raz pierwszy w swym życiu w zrozumiałej sobie mowie – że Ewangelia Chrystusowa to naprawdę dobra nowina, ale też i tego, że nie należy jej utożsamiać z doktryną papieską i biskupią,

bardzo daleką od czystej Ewangelii. Hus gromił bezlitośnie rozpustę panów i prałatów, którzy walczyli o swoje dochody – jak mówił – „niczym psy o kość”. W ten sposób stawał on w obronie narodu czeskiego, wyzyskiwanego przez feudałów niemieckich.

Poglądy Husa znalazły zwolenników nie tylko wśród ludu. Sympatyzowało z nim – z uwagi na jego akcenty antyniemieckie – również wielu jego przyjaciół w środowisku uniwersyteckim, obdarzał go przychylnością sam król Waclaw, a królowa Zofia mianowała go swoim kapelanem nadwornym. Wielu dworzan i rycerzy chętnie słuchało Husa, zwłaszcza gdy podważał autorytet niemieckich prałatów. Hus był nawet ulubieńcem arcybiskupa praskiego Zbynka, który wprawdzie niezbyt znał się na teologii, ale będąc Czechem, był również nastawiony antyniemiecko.

Pod wpływem króla Zygmunta kler niemiecki uzyskał w Rzymie bullę potępiającą Wiklefa i jego czeskich zwolenników. Arcybiskup Zbynek rozkazał więc zebrać pisma Wiklefa, złożyć je na stosie w środku miasta i spalić. Zatarg się rozszerzał. Król Waclaw, bojąc się utracić swój autorytet międzynarodowy na forum chrześcijańskiej Europy, przeszedł na stronę hierarchii kościelnej. Spowodowało to tym gwałtowniejsze wystąpienia Husa.

Stolica Apostolska w osobie papieża Jana XXIII rzuciła w roku 1413 klątwę na Husa, dając mu krótki termin na wyrzeczenie się błędów. Tytułem dygresji: dla przejrzystości tekstu należy wyjaśnić, że imię Jana XXIII przyjął również w roku 1958 Angelo Roncalli, patriarcha Wenecji; uznano bowiem, że Jan XXIII – ten z roku 1410 – był antypapieżem, wybranym nielegalnie na ten urząd przez jedno z ówczesnych stronnictw politycznych.

Odmowa wykonania powyższego polecenia pociągała za sobą nową karę kanoniczną, mianowicie interdykt, polegającą na tym, że w każdym miejscu, gdzie przebywał Hus, należało zamknąć kościoły, nie wolno było odprawiać nabożeństw ani udzielać sakramentów. Ta forma kary miała zmusić lokalne władze i społeczeństwo do przepędzenia Husa ze swej miejscowości, jeśli chciały one, by publiczne życie religijne funkcjonowało normalnie. A przepędzany z miejsca na miejsce Hus winien się opamiętać, upokorzyć i poddać decyzjom kościelnej władzy. Ponadto kaplica Betlejemska miała być zrównana z ziemią, od czego zwolennicy Husa uchronili ją siłą.

Król, aby uniknąć skutków interdyktu, zmusił Husa do opuszczenia Pragi. Hus zatem, który początkowo schronił się u swego przyjaciela na jego zamku w Kozim Hradku, wędrował po kraju od miasta do miasta, od wioski do wioski, ciągle głosząc kazania i porywając za sobą tłumy. Stawał się w ten sposób istnym bohaterem narodowym. W tym czasie napisał swoje najważniejsze dzieło „O Kościele” (*Tractatus de Ecclesia*), w którym wyjaśniał, że Kościół nie jest instytucją, lecz społecznością wiernych wybranych przez Boga i służących mu w czystości swoich obyczajów. Zatarg zbliżał się ku końcowi.

Wzrastał nacisk polityczny na władzę królewską i sprawą Husa zajął się sam król Rzymu – Zygmunt Luksemburczyk. Pod jego naciskiem został zwołany Sobór do Konstancji. Król Zygmunt, zdając sobie sprawę z popularności Husa w Czechach, poradził mu odwołać się do przyszłego soboru i obiecał mu glejt bezpieczeństwa na drogę. Rzeczywiście: dzięki temu glejtowi Hus bezpiecznie dojechał do Konstancji, ale nie mógł już dzięki niemu powrócić do domu. Wydawało mu się, że

tam, na forum całego chrześcijaństwa, będzie mógł obronić swą prawdę i otwórzy biskupom oczy na prawdę Ewangelii. W Konstancji działy się jednak różne rzeczy – turniejów i zabaw było tam więcej niż dysput teologicznych. Widząc to, Hus pisał do przyjaciół: „Gdybyście widzieli ten sobór, który się nazywa najświętszym i niezłomnym, nabralibyście wstrętu. Trzydzieści lat trzeba będzie, aby oczyścić Konstancję z grzechów, które tu się zgnieździły”.

W Konstancji papież zawiesił interdikt, aby obecność Husa nie przeszkadzała duchownym w odprawianiu nabożeństw, ale sympatii dla siebie Hus nie wyczuwał. Jego osobista czeska eskorta była bezsilna. Nie wiedział jednak, że czeska hierarchia kościelna przysłała do Konstancji trzy tysiące florenów po to, „aby Hus by wreszcie spalony”.

Gdy udał się do pałacu papieskiego, został w przedpokojach schwyty i osadzony w wilgotnej celi więziennej, przylegającej do kanału, którym spływała woda do bagien nadreńskich. Tam dostał gorączki i jedynie interwencja lekarzy papieskich uratowała mu życie. Władze miały bowiem nadzieję, że wyrzeknie się błędów publicznie. Hus jednak, po wyzdrowieniu, pisał w więzieniu listy i rozprawy, w których jeszcze gwałtowniej oskarżał hierarchów o zdradę idei Chrystusa. Z tego więc więzienia został przeniesiony do innego, jeszcze surowszego, na jedną z wysp Renu. Tam zamknięto go w małej celi, skuwając mu stopy na stałe, a na noc przykuwając mu rękę do muru. Spędził tak 73 dni, po czym rozpoczął się proces.

Pisze o tym procesie Jan Wierusz Kowalski: „Najpierw odbyła się uroczysta sesja, w której przez kilka godzin odczytywano zarzuty stwierdzające formalnie, że Hus jest heretykiem, popiera potępioną przez Kościół naukę Wiklefa i winien jest kary wyklęcia. Jako heretyka

należy go oddać w ręce sprawiedliwości. Po czym zawleczono go do kościoła i tu odbyła się tragifarsa degradacji z kapłaństwa. Ubrano wpieryw Husa w szaty liturgiczne, a następnie z szyderczymi śmiechami i zniewagami kolejno je z niego zdzierano. Na dworze w tym czasie palono jego dzieła.

Stos znajdował się na przedmieściu. W otoczeniu giermków i podburzonego mieszczaństwa niemieckiego zaprowadzono tam Husa i przywiązano do słupa. Nogi miał oparte o mały stolek. Chciał wygłosić kazanie, ale zmuszono go do milczenia. Sugestię, aby się wyśpowiadał, stanowczo odrzucił, mówiąc, iż uważa się za niewinnego. Eneaszy Sylwiusz, który później został papieżem pod imieniem Piusa II, stwierdził, że „żaden z filozofów nie umierał z takim męstwem jak Hus”. Popioły i kości wrzucono do Renu, aby Czesi nie przechowywali ich jako relikwii. Opowiadają, że idąc na śmierć Hus rzekł: „Dziś palicie gęś, jutro z popiołów wstanie łabędź”. Słowa te zastosował do swojej osoby inny reformator, który sto lat później wstrząsnął Europą – był nim Marcin Luter” (Jan Wierusz Kowalski, *Reformatorzy chrześcijaństwa*, Warszawa 1970, s. 197).

### **c) Reakcja Czechów na śmierć Jana Husa**

Spalenie Husa wywołało w Europie, zwłaszcza w krajach słowiańskich, falę oburzenia. W Pradze wybuchły zamieszki, Czesi bowiem uznali śmierć Husa za zniewagę wyrządzoną całemu narodowi. Tłumy burzyły domy przeciwników Husa, zabijały księży propapieskich, oblegały pałac biskupi. Podobne rozruchy miały miejsce na prowincji. Husa uznano za męczennika prawdziwej wiary, bito na jego cześć medale, odprawiano w kościołach *Missam sancti Hussi*, czyli mszę zawierającą liturgiczne teksty ku

czci świętego Husa, a w kalendarzu poświęcono jego pamięci dzień 6 lipca jako dzień jego śmierci. Szlachta husycka natomiast na sejmie w Pradze 15 października 1415 roku opracowała odezwę do Soboru w Konstancji pełną gwałtownych wyrzutów za spalenie Husa, podpisaną i opieczętowaną przez 452 baronów. Jednocześnie zawarła szlachta Związek Wspólnej Obrony celem zapewnienia wolności słowa głosicielom zasad Husa, wypowiadając biskupom posłuszeństwo w sprawach wiary, a obiecując je tylko tym, którzy wyłącznie Pismo święte uznają za jedyne prawo.

Idee Husa długo jeszcze były żywe. W husytyzmie powstały nawet rozłamy wewnętrzne, zróżnicowania doktrynalne i partie o różnych zainteresowaniach politycznych. Wybuchły wojny husyckie, organizowano przeciw husytom



wyprawy krzyżowe. Pewne partie i ugrupowania polityczne w ramach husytyzmu oferowały tron czeski polskiemu królowi Władysławowi Jagielle, a gdy ten odmówił – Wielkiemu Księciu Litewskiemu Witoldowi. W sumie dynastia Jagiellonów nie osiadła na tronie czeskim, a Jagiełło nie dopuścił do rozwoju husytyzmu w Polsce. □

---

**PAWEŁ BORECKI**

## Specyficzny status prawny kleru w Polsce

Prawo polskie nie posługuje się jednolitą terminologią na oznaczenie grupy społeczno-zawodowej, którą Francuzi nazywają „funkcjonariuszami kurii”. Spotykamy się z takimi określeniami – niekonsekwentnie stosowanymi przez prawodawcę – jak: „osoba duchowna”, „duchowny”, „osoba zakonna”, alumni, nowicjusze, postulanci, junioryści. Pojawia się pytanie w związku z tym, który z tych terminów jest najszerszy, który obejmuje całość grupy społeczno-zawodowej, o której dziś mówimy.

Wydaje się, że w świetle ustawy o powszechnym obowiązku obrony Rzeczypospolitej Polskiej z 1967 roku i w świetle ustawy o systemie ubezpieczeń

społecznych najszerszym pojęciem obejmujących całą tę grupę społeczno-zawodową jest pojęcie „osób duchownych”. O danej grupie mówimy, że jest to grupa, która – przynajmniej w odniesieniu do Kościoła katolickiego – liczy ponad 55 tysięcy osób (niestety, nie mam aktualnych danych, jeśli chodzi o poszczególne kategorie osób duchownych).

Według danych na 2014 rok w Polsce mieliśmy 133 biskupów katolickich (dzisiaj jest ich ok. 150); następnie 22200 księży diecezjalnych, 6300 księży zakonnych, 23300 sióstr zakonnych, 1500 braci zakonnych, 7 diakonów stałych. W 2011 roku było 3200 aluminiów w seminariach duchownych; co

charakterystyczne: liczebność alumnów w seminariach duchownych wykazuje wyraźną tendencję spadkową.

Kwalifikowaną grupą tej kategorii – osób duchownych stanowią duchowni *sensu stricto*; można do nich odnieść pojęcie „*kleru*”. Kler bowiem według prawa kanonicznego to są biskupi, prezbiterzy, czyli zwyczajni księża po otrzymaniu święceń kapłańskich i diakoni. To dotyczy Kościoła katolickiego.

Prawo polskie w sposób szczegółowy nie definiuje pojęcia „duchownego”. Odwołuje się do pojmowania tego pojęcia przez prawo wewnętrzne związków wyznaniowych o uregulowanej sytuacji prawnej. W świetle ustawy o gwarancjach wolności sumienia i wyznania z 1989 roku, duchowni są to osoby ustanowione, powołane zgodnie z prawem wewnętrznym związków wyznaniowych o uregulowanej sytuacji prawnej, do pełnienia funkcji sakralnych, czyli – mówiąc obrazowo, jak to pisał swego czasu Czesław Namierowski – *do pośredniczenia między tak czy inaczej pojmowanym sacrum a masami wiernych (...)*.

Prawo polskie wyróżnia też szczegółową kategorię tzw. osób zakonnych. Są to – mówiąc potocznie – zakonnicy i zakonnice. W Kościele katolickim są to członkowie instytutów życia konsekrowanego i stowarzyszeń życia apostołskiego. W ramach instytutów życia konsekrowanego wyróżnia się tzw. instytuty zakonne i instytuty świeckie. Cechą charakterystyczną instytutu życia konsekrowanego jest to, że adepci tego rodzaju wspólnot składają śluby wstępując do wspomnianych korporacji.

Wspólnoty monastyczne istnieją też w innych wyznaniach niż wyznanie katolickie. Spotykamy je chociażby wśród Kościołów mariawickich, w Kościele prawosławnym; we wspólnotach buddyjskich mamy też tego rodzaju

korporacje i ogólnie członków tego rodzaju wspólnot prawo określa mianem osób zakonnych.

Pojęcie duchownego i osoby zakonnej w świetle prawa nie jest pojęciem rozłącznym. Są takie osoby zakonne, które są jednocześnie duchownymi, tzn. że są osobami, które otrzymały święcenia kapłańskie takiego czy innego szczebla. Do takich osób zwracamy się grzecznościowo per „ojcze”; do zwyczajnego zakonnika, który nie jest kapłanem mówimy po prostu „bracie”.

Prawo wyróżnia także grupę osób przygotowujących się do stanu kapłańskiego i stanu zakonnego; są to: alumni seminariów duchownych, słuchacze analogicznych szkół innych wyznań niż Kościoła katolickiego, czy wyznań posiadających wyższe seminaria duchowne; a także wyróżnia osoby przygotowujące się do stanu zakonnego, tzn. nowicjuszy, postulatów i juniorystów. Innymi słowy: istnieje duży pluralizm, jeśli chodzi o klasyfikację osób duchownych.

**Status prawny osób duchownych** opiera się, szczególnie po wejściu w życie ustaw wyznaniowych z 17 maja 1989 roku, na – po pierwsze – zasadzie równouprawnienia; po drugie – na zasadzie wolności sumienia i wyznania; po trzecie – powinien się opierać (w świetle Konstytucji i Konkordatu) na zasadzie wzajemnej niezależności Państwa i Kościoła w swoim zakresie w wymiarze personalnym. Ta zasada w szczególności powinna rzutować na powstrzymanie się duchowieństwa przed sprawowaniem funkcji organów władzy publicznej. Albo się jest duchownym, albo się decyduje na sprawowanie władzy publicznej. Zasada niezależności Państwa i Kościoła w swoim zakresie wyklucza (choć jest to zasada ogólna, ale bardzo rozciągliwa w praktyce) piastowanie przez osoby

duchowne funkcji organów władzy publicznej. W tym kontekście należy krytycznie patrzeć na przypadek prof. Michała Królikowskiego, który jest oblatem benedyktynów i który jednocześnie był wiceministrem sprawiedliwości.

Ustawa o gwarancjach wolności sumienia i wyznania mówi wyraźnie, że duchowni oraz osoby zakonne korzystają z uprawnień oraz podlegają obowiązkom na równi z innymi obywatelami we wszystkich dziedzinach życia państwowego, politycznego, gospodarczego, społecznego i kulturalnego. Zarazem duchowni i osoby zakonne są zwolnione z obowiązków – na podstawie obowiązujących ustaw – niemożliwych do pogodzenia ze statusem duchownego czy osoby zakonnej. To ogólnie, na podstawie ustawy o gwarancjach wolności sumienia i wyznania uchwalonej jeszcze przez sejm dziewiątej kadencji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Ustawa o gwarancji wolności sumienia i wyznania w szczególności gwarantuje (regulacja szczegółowa) duchownym prawo do noszenia stroju duchownego odpowiedniego zakonu.

Osoby duchowne korzystają w większym stopniu niż osoby świeckie z klauzuli sumienia; po drugie są one preferencyjnie opodatkowane w zakresie dochodów uzyskanych z działalności stricte duszpasterskiej; po trzecie korzystają z preferencji w zakresie ubezpieczeń społecznych i zdrowotnych – zwłaszcza jeśli chodzi o wysokość składek ubezpieczeniowych, a przede wszystkim o finansowanie tych składek.

Osoby duchowne w szerszym stopniu niż w odniesieniu do laikatu poddane są ochronie tzw. klauzuli sumienia, czyli prawa do odmowy podporządkowania się obowiązkowi nałożonemu przez prawo, ze względu na tzw. „**sprzeciw sumienia**”. W takim zakresie ta klauzula

sumienia jest w sposób specyficzny uwzględniana w odniesieniu do osób duchownych. Po pierwsze jest to obowiązek służby wojskowej z bronią w rękę. Po drugie jest to tajemnica spowiedzi.

Osoby przygotowujące się do stanu duchownego czy zakonnego, a także osoby które już definitywnie zostały przyjęte do stanu duchownego lub zakonnego „nie wążają prochu”. Alumni wyższych seminariów duchownych, a także nowicjusze, junioryści i postulanci na swój wniosek mają odroczoną zasadniczą służbę wojskową. Z tym, że należy pamiętać, iż od 1 stycznia 2010 roku pobór do zasadniczej służby wojskowej został zawieszony. Niemniej odpowiednie regulacje w ustawie o powszechnym obowiązku obrony Rzeczypospolitej Polskiej nadal są zawarte. Natomiast osoby, które zostały już duchownymi lub, które złożyły śluby wieczyste, czyli zostały w sposób definitywny przyjęte do stanu duchownego czy zakonnego – tym osobom służba wojskowa jest odroczona. Mowa o osobach duchownych i osobach zakonnych, które posiadają ten status na stałe; ponieważ są w Polsce również wyznania, które przewidują istnienie duchowieństwa wybieranego na określoną kadencję. Duchownym wybieranym na określoną kadencję preferencje w zakresie zwolnienia ze służby wojskowej z bronią w rękę nie dotyczą.

Duchowni mogą być powoływani do odbycia ćwiczeń wojskowych tylko za zgodą swego przełożonego kościelnego, czyli biskupa diecezjalnego bądź wyższego przełożonego zakonu. Mogą być powoływani jedynie do funkcji kapelanów wojskowych. Natomiast alumni wyższych seminariów duchownych oraz osoby przygotowujące się do stanu zakonnego – także zakonnicy czy bracia zakonnici – w przypadku ogłoszenia mobilizacji mogą być powołani jedynie do



pełnienia funkcji sanitariuszy i w obronie cywilnej. W czasie wojny duchowni mogą być powołani tylko do pełnienia funkcji kapelanów wojskowych.

### ***Ochrona tajemnicy spowiedzi***

jest zakorzeniona w zachodniej kulturze prawnej. To nie jest tylko gest polskiego ustawodawcy. Warto wspomnieć dla porównania, że car Piotr I wydał dekret nakazujący duchownym ujawnienie przypadków spisków na życie cara, o których by się dowiedzieli podczas spowiedzi. W przypadku carskiej Rosji istniał znamieny wyjątek od zasady tajemnicy spowiedzi. O jaką spowiedź chodzi?

Chodzi o tzw. „spowiedź uszną” czyli wyznanie grzechu przez penitenta duchownemu w zamiarze uzyskania rozgrzeszenia.

Tajemnica spowiedzi jest objęta bezwzględnym zakazem dowodowym na gruncie postępowania w trybie prawa karnego, w procedurze kontrolnej przewidzianej przez ustawę o Najwyższej Izbie Kontroli, w ramach postępowania

administracyjnego i postępowania podatkowego na podstawie ustawy o ordynacji podatkowej z 1997 roku.

Jeśli chodzi o postępowanie cywilne, sąd może zapytać duchownego o fakt, o którym dowiedział się na spowiedzi, a duchownemu przysługuje prawo odmowy złożenia zeznań. Samo pytanie jest dopuszczalne natomiast duchowny może powstrzymać się od odpowiedzi. Tajemnica spowiedzi jest chroniona niezależnie od tego czy penitent uzyskał rozgrzeszenie, niezależnie od tego czy duchowny był upoważniony do przyjęcia spowiedzi z określonej kategorii grzechów, bo w Kościele katolickim pewne grzechy są zastrzeżone dla wybranej kategorii duchownych – jak np. grzech aborcji (...).

Tajemnica spowiedzi jest również chroniona jeśli osoba, która spowiedź przyjęła, przestała być duchownym, tzn. wystąpiła ze stanu duchownego, albo została z tego stanu wykluczona.

Nie wszystkie informacje, które przekazuje się osobie duchownej, są przekazywane w ramach spowiedzi; często jest to rozmowa w ramach poradnictwa duchownego, często jest to zwykła rozmowa międzyludzka, gdy wierny przekazuje informację, o której chciałby, by pozostała poufna. Prawo w tym zakresie jednoznacznie nie zapewnia ochrony, natomiast doktryna prawa wyznaniowego stoi na stanowisku, że tego rodzaju informacje przekazane duchownemu przez wiernych poza spowiedzią mogą podlegać ochronie jako tajemnica zawodowa. Zapewnia to ustawa o Najwyższej Izbie Kontroli w ramach postępowania kontrolnego. Również jeśli chodzi o tajemnicę zawodową, to na gruncie postępowania karnego przysługuje prawo do odmowy złożenia zeznań. To samo dotyczy procedury na gruncie procedur: administracyjnej, cywilnej i postępowania podatkowego.

Nawet jeżeli tego rodzaju informacji, przekazane duchownemu, nie traktowałoby się jako tajemnicy zawodowej, to można ją potraktować jako tajemnicę prywatną, która jest chroniona przez art. 266 par. 1 Kodeksu Karnego. Za ujawnienie tajemnicy prywatnej sprawca może ponieść odpowiedzialność w postaci grzywny, kary ograniczenia wolności, bądź pozbawienia wolności do lat dwóch. Jest to stanowisko doktryny prawa wyznaniowego i należałoby poczekać na konkretne orzecznictwo sądowe w tego rodzaju sprawach.

Osoby duchowne przed sądami mają z punktu formalno-prawnego taki sam status jak osoby świeckie; z jednym wyjątkiem: duchowni nie mogą pełnić funkcji ławnika.

***Osoby duchowne podlegają powszechnemu podatkowi dochodowemu od osób fizycznych***; z tym, że ten podatek może być płacony w dwojakiej formie. Po pierwsze w formie ryczałtu, po drugie na zasadach ogólnych.

Ryczałt jest płacony od przychodów uzyskiwanych z działalności strictly duszpasterskiej przez duchownych należących do kościołów i innych związków wyznaniowych o uregulowanej sytuacji prawnej. Ryczałt nie jest płacony od całości dochodu duchownego, tylko od dochodów uzyskanych z działalności strictly duszpasterskiej. Natomiast jeśli chodzi o pozostałe źródła przychodów, to są one opodatkowane na zasadach ogólnych, w szczególności znaczna część duchowieństwa zatrudniona w przedszkolach i szkołach opłaca podatek dochodowy na ogólnych zasadach. Co miesiąc potrącają się zaliczki na ten podatek przy okazji wypłaty pensji.

Ryczałt jest podatkiem szacunkowym, w którym rezygnuje się z określenia rzeczywistych dochodów duchownego. Te

dochody szacowane są w oparciu o bardzo ogólne kryterium. Po pierwsze szacowane jest kryterium funkcji duchownego. Po drugie stosowane jest kryterium liczby mieszkańców parafii.

Ustawa z 1998 roku o zryczałtowanym podatku dochodowym od niektórych przychodów osiągniętych przez osoby fizyczne, w odniesieniu do duchownych wyróżnia dwie funkcje: proboszczów i wikariuszy. Analogicznie w odniesieniu do wyznań innych niż te, które przewidują tego rodzaju funkcje. Ustawodawca nie przewiduje, nie wyróżnia kategorii wyższego kleru czyli biskupów. Na ten temat milczy, a przecież biskupi też mają dochody z pełnienia funkcji duszpasterskiej – chociażby z bierzmowania, wizytacji parafii etc., etc.

Drugim kryterium jest liczba mieszkańców parafii, w której duchowni pełnią swoją funkcję. Zwracam uwagę: nie liczba wiernych, nie liczba praktykujących, nie liczba ochrzczonych, tylko **liczba mieszkańców** parafii.

Przed laty Marcin Przeciszewski, prezes Katolickiej Agencji Informacyjnej, zwrócił uwagę publicznie, że jest to jedyne takie rozwiązanie w Europie, że księża polscy są dyskryminowani. Być może jest to jedyne takie rozwiązanie w Europie. Chcę zwrócić uwagę, że duchowni mogą zrzec się opodatkowania w formie ryczałtu, w każdej chwili. ich dochody z działalności strictly duszpasterskiej podlegają wówczas opodatkowaniu na zasadach ogólnych, tzn. mają obowiązek prowadzenia podatkowej księgi przychodów-rozchodów, wyliczania dochodu i naliczania od niego podatku. Nie słyszałem, żeby w Polsce masowo duchowni rezygnowali z ryczałtu. Ryczałt jest dla nich opłacalny.

O jakiej formie przychodów mówimy? Są to w Kościele katolickim: intencje mszalne (zwyczajowo 100 zł), „iura

stolae” są to wszystkie datki związane z tym, że ksiądz musi założyć stulę: chrzest, I komunია, pogrzeb, asystowanie przy udzielaniu sakramentu małżeństwa, kołęda, wypominki. Są to dochody formalnie opodatkowane w formie ryczałtu.

Ryczałt jest dziurawy. Mówię o regulacji prawnej dotyczącej opodatkowania ryczałtem. Duchowni którzy uzyskują przychody w związku z rekolekcjami lub innymi posługami o podobnym charakterze, czyli np. biskupi, którzy udzielają sakramentu bierzmowania, mogą, ale nie muszą płacić ryczałtu od dochodów uzyskanych w związku z pełnieniem takich posług. Jest to wyraźna luka wprowadzona i utrzymywana przez ustawodawcę. Jeśli decydują się na opłacanie ryczałtu z tytułu przychodów uzyskanych z rekolekcji lub innych posług o podobnym charakterze, opłacają znikomy ryczałt od wysokości przewidzianej dla wikarego w danej parafii.

Jakie to są pieniądze? (Dane z 2018 roku – stawki kwartalne).

Proboszczowie:

- w małej parafii do 1000 mieszkańców – 427 zł
- w największej parafii do 20000 mieszkańców – 1533 zł.

Wikariusze:

- w małej parafii do 1000 mieszkańców ( w mieście do 5000 mieszkańców) – 129 zł
- w parafii do 10 000 mieszkańców (w mieście powyżej 50000 mieszkańców) – 495 zł.

Duchowni na zasadach ogólnych opłacają podatek jeśli są katechetami w szkołach, kapelani w instytucjach publicznych, jeśli prowadzą działalność gospodarczą. Dochodów objętych ryczałtem nie łączy się z dochodami z innych źródeł.

Od 1989 roku duchowni zostali na preferencyjnych zasadach objęci

systemem ubezpieczeń społecznych. Te preferencje utrzymują się do dzisiaj.

Jeszcze parę słów o finansowaniu składek na ubezpieczenia społeczne, czyli ubezpieczenie rentowe, emerytalne i wypadkowe, bo chorobowego ubezpieczenia duchowni nie opłacają. Otóż duchowni opłacają składki jedynie w 20%. W 80% składki są finansowane przez Fundusz Kościelny, czyli przez budżet Państwa. W 100% zaś budżet Państwa finansuje składki na ubezpieczenie społeczne członków zakonów kontemplacyjnych-klauzurowych i – co moim zdaniem stanowi naruszenie zasady neutralności światopoglądowej Państwa – składki na ubezpieczenia społeczne misjonarzy, tj. polskich duchownych w okresie ich pracy misyjnej. Tak więc pośrednio państwo polskie wspiera działalność misyjną – krzewienie religii. Jest to ewidentne naruszenie zasady neutralności światopoglądowej.

Generalnie duchowni opłacają składkę zdrowotną sami. Mam na myśli duchownych, którzy płacą podatek dochodowy na takich, czy innych zasadach. Oni finansują sami składki ubezpieczeniowe zdrowotne, ale mają prawo odliczyć sobie od podatku ze wskaźnika 9%, bo tyle wynosi stawka składki na ubezpieczenie zdrowotne, 7,75%.

Natomiast osoby duchowne, które nie płacą podatku dochodowego od osób fizycznych, a także osoby przygotowujące się do stanu duchownego lub stanujące do zakonu, nie finansują same składek na ubezpieczenie zdrowotne. Składkę tę opłaca Fundusz Kościelny.

Są to szczególne aspekty statusu prawnego osób duchownych w wymiarze formalno-prawnym. □

Referat wygłoszony podczas sesji „Kler w Polsce” 19 stycznia 2019 r.

KAZIMIERZ PASENKIEWICZ

## Rodzinny Dom

Moja Matka Maria, córka Anny i Włodzimierza Bohomolca, urodziła się w Niemirowie (na Podolu) 24.I.1864 r. Ojciec jej za udział w organizacjach powstańczych Powstania Styczniowego został skazany na śmierć przed jej urodzeniem. Matka zmarła w czwartym miesiącu po połogu na zapalenie płuc. Ślub wzięli za specjalnym zezwoleniem w celi więziennej. Świadkiem ślubu była Stanisława Ułaszyn, która opowiadała o tym mnie i memu rodzeństwu.

Niańka nowonarodzonego dziecka, Ukrainka, oddała niemowlę sąsiadom, rosyjskiej rodzinie. Pierwsze lata dzieciństwa matka moja spędziła we względnie dobrobycie, wychowywana jako rosyjskie dziecko. Po śmierci opiekunów sierotę wzięła jedna z ich córek, żona oficera rosyjskiego i traktowała dziesięcioletnią dziewczynkę jako służącą i niańkę, była bita i poniewierana.

W 1877 r. o miejscu pobytu matki dowiedziała się rodzina. Matka została odszukana i wykradziona przez starsze siostry przyrodnie Wiktorię i Walentynę Młodziejowskie. Zaczęła się uczyć polskiego, czytania i pisania. Pracowała w zakładzie modniarskim, założonym przez babcię Ułaszyn. Koleżankami jej były podobne sieroty. W roku 1886 Matka przyjechała do Kijowa do siostry swej Walentyny, która wyszła za mąż za Dłuskiego; pomagała jej w prowadzeniu domu i wychowaniu syna Stanisława.

W 1894 roku wyszła za mąż za Stanisława Pasenkiewicza, laboranta w słynnym zakładzie fotograficznym Wysociego. Mieli dwóch synów. W 1897 r.

cała rodzina przeniosła się na ulicę Laboratorną w nowej dzielnicy Kijowa. Brat mój urodził się w marcu 1895, ja we wrześniu 1897. W lutym 1899 r. ojciec mój popełnił samobójstwo z powodów erotycznych, a w szóstym miesiącu po jego śmierci urodziła się w sierpniu 1899 moja siostra Janina. Śmierć ojca, który zapewniał rodzinie stałe – chociaż bardzo skromne – utrzymanie, była dla wdowy z trojgiem dzieci katastrofą.

Dobrze sytuowane przyrodnie siostry Matki wynajęły dla niej obszerne mieszkanie w centrum miasta, przy ulicy Podwalnej i zorganizowały stołówkę na kilkanaście osób.

W trzy miesiące po urodzeniu Janki Mama upadła na ulicy i została przewieziona do szpitala św. Olgi. Okazało się, że był to paraliż nóg na tle ciężkich przeżyć i wyczerpania porodowego. W stałym przerażeniu i niepokoju o nasz los Mama przeleżała w szpitalu 5 miesięcy. Była pod opieką doktora Piotrowskiego; dodawał on jej otuchy i pocieszał zapewniając, że wyzdrowieje. W szpitalu Matkę parokrotnie proszono o oddanie dzieci na wychowanie; Matka, która przeżyła dzieciństwo u obcych, odmawiała.

Nami opiekowała się – na ile mogła – babcia, ale dom prowadziła pani Szokałska. Budziła w nas nieustający strach; stołówkę prowadziła nieuczciwie. Babcia Pasenkiewiczowa, która mieszkała z nami, była w życiowych sprawach bezradna.

Po pięciu miesiącach Matka odzyskała zdolność poruszania się i – jeszcze słaba – wróciła do domu. Wyzdrowienie

swe przypisywała doktorowi Piotrowskiemu i żywiła do niego przez całe swe życie gorącą wdzięczność, przekazując ją także nam.

W domu Matka zastała gospodarzkę w rozpaczliwym stanie. Przez kilka dni, mobilizując ostatnie rezerwy, matka potrafiła dokonywać zakupów na bieżące obiady; ale nadszedł dzień, kiedy odmówiono jej wszelkich kredytów. Następnego dnia zapowiadał ruinę. W ostatniej rozpaczy Matka udała się do proboszcza bogatej parafii kościoła Św. Aleksandra, księdza Skalskiego; ale i tu – jak wszędzie – spotkała ją odmowa. Kościół ten stał na stoku wzgórza obok parku z panoramą Golgoty w rotundzie. Przez ten park prowadziły ścieżki daleko w dół, do Dniepru.

Było późne popołudnie. Mama zeszła do samej rzeki; przyszłość wydała się jej beznadziejna i dalsza walka bezcelowa; zbyt wiele przeżytych klęsk. Fale Dniepru kończyłyby cierpienia. Po jakimś czasie wyłoniły się wspomnienia lat dzieciństwa. Mama wstała i poszła do domu; postanowiła podjąć walkę. Była to druga godzina w życiu Mamy, gdy śmierć wydała się jej konieczna i dobra. Po raz pierwszy zdarzyło się to w 1877 roku, nad Bohem, gdy Mama uciekając od swych gnębieli traciła nadzieję, że nadejdzie po nią, jak było umówione, przyrodnia siostra Wiktoria.

Po powrocie do domu Mama zwróciła się o pomoc do sąsiadek, a m. in. do praczki, obsługującej licznych lokatorów posesji. Miała ona do dyspozycji dużą ogólną lokatorską pralnię i magiel. W późniejszych latach ratowała nieraz Mamę, pożyczając pieniądze brakujące na codzienne zakupy.

Po paru miesiącach udało się Mamie odzyskać równowagę finansową i najbliższe lata upłynęły we względnie spokojnym.

Mieszkanie, do którego wprowadziliśmy się po śmierci Ojca, zajmowało niski parter zbudowanej na pochyłości trzypiętrowej oficyny. Północno-wschodnie okna wychodziły na szeroki ocementowany wykop i zabezpieczające go ozdobne sztachety. Za nimi rosły topole w kwiatowym ogródku z klombami i fontanną. Rano drzewa były prześwietlone słońcem; oglądane z dołu wydawały się zielono-czarną klawiaturą falującego światła. Latem strugi deszczu, spływając po zboczu wykopu, tworzyły pod samymi oknami szybko mknący potok. Wiosną topniejące śniegi spływały między miniaturami lodowych gór i tworzyły w wyobraźni dziecięcej gigantyczne polarne krajobrazy. Z południowych okien widać było rosnącą nad dachem niskiego budynku, gdzie mieściły się składziki lokatorów, rozłożystą lipę, siedzibę ptactwa. Przesłaniała ona dużą część nieba; nad nią płynęły słońce i obłoki w dzień, a wieczorem księżyc i gwiazdy.

Samo mieszkanie składało się z 5 pokoi, z których salon i jadalnia były bardzo duże. Poza tym była służbówka, kuchnia, ubikacja, łazienka z mosiężnym kotłem, spiżarnia; załamany korytarz łączył w sposób skomplikowany pokoje z kuchnią i łazienką. Mieszkanie ogrzewane było (wtedy rzecz rzadka) centralnie przez kotłownię. Z korytarza wyjście kuchenne prowadziło na podwórko, a frontowe przez klatkę schodową na ogródek z fontanną.

Mieszkanie było podstawą utrzymania rodziny. Dwa pokoje: salon i sypialnia Mama odnajmowała, przeważnie znajomym; duży pokój jadalny i pomieszczenia gospodarskie umożliwiały prowadzenie stołówki i domu. Wymagało to wielkiej, trwającej 10-12 godzin pracy przez wszystkie dni w roku. Trzeba było wiele hartu i poświęcenia, aby to wytrzymać.

Pomagały Mamie w tej pracy trzy osoby: kucharka i dwie pomocnice – dziewczęta wiejskie, z których jedna utrzymywała porządek w mieszkaniu i kuchni, a druga opiekowała się nami; obie pomagały w jadalnym.

Silnym wsparciem dla Mamy był bardzo życzliwy stosunek do niej zarówno stołowników, jak lokatorów, a przede wszystkim szczerą i ofiarną współpracą pomocy domowej. Pracowały one niezależnie od nieregularnie wypłacanych wynagrodzeń, aż do zamążpójścia. Z drugiej strony sytuację utrudniała wyjątkowa dobroć Mamy, często wyzyskiwanej przez dawne przyjaciółki i znajome.

Praca zaczynała się o 8 rano i trwała do ósmej wieczorem; o tej godzinie wszystko było pomyte i sprzątnięte; Mama kładła się wtedy na małej sofie w jadalnym pokoju i trwała jakiś czas w bezruchu. Nieustającą udręką tych lat był strach przed powtórzeniem się paraliżu. Stałym cierpieniem były częste bóle głowy i zębów, a nigdy nie było dość pieniędzy, aby udać się do dentysty. Pomimo wszystko, Mama była pogodna i niezmiennie życzliwa dla wszystkich ludzi. Największą jej radością była opera, dokąd Mama chodziła sama raz na miesiąc na najtańsze miejsca.

Mama była bardzo towarzyska i lubiana zwłaszcza przez młodzież; nazywano ją powszechnie Ciocia Frania.

Z tego okresu pamiętam liczne składkowe majówki. Od czasu do czasu zbierało się u nas w wiosenne i letnie niedziele grono znajomych i przyjaciół. Wyruszaaliśmy tramwajem (elektryczne tramwaje w Kijowie łączyły miasto z podmiejskimi miejscowościami) do lasów, otaczających Kijów ze wszystkich stron. Były to przeważnie dębowe lasy porastające wzgórza; między nimi, w głębokich dolinach błyszczały tafle jezior.

Piękne były Syrce, gdzie była dacha (willa) cioci Waluni; górzysty Gaj Kadecki, teren wycieczek narciarskich; i olbrzymi kompleks leśny pełen stawów – Puszcza Wodica. Wieczorem szliśmy z bukietami kwiatów do przystanków i tramwajem wracaliśmy do miasta.

Myślę, że miasto dzieciństwa kształtuje w dużym stopniu dalsze życie człowieka. Bliskie mi były Wilno i Lwów, przypominające Kijów, i współczułem dzieciom Warszawy, miasta pozbawionego pięknych okolic.

Rodzina ze strony Matki była nieliczna; tylko dwie przyrodnie siostry, Walentyna i Wiktorina. Ich stosunek do mamy i do nas nigdy nie był serdeczny; myślę, że zadawniony żal starszych do wspólnej matki zaciążył na nim.

Dziad nasz, Witalis Pasynkiewicz, po wyjściu cało z powstania (informacje od stryja Erazma, u którego dziad mieszkał pod koniec życia) ożenił się z Marią Dobraczyńską. Miał z nią siedmioro dzieci: trzy córki i czterech synów. O dzieci się nie troszczył; wychowali je bliźni i dalsi krewni. Żadne z nich nie otrzymało nawet średniego wykształcenia, ale niektórzy osiągnęli dość wysokie pozycje społeczne. Byli zdrowi i żyli długo; mężczyźni średnio 90 lat, kobiety do 100 lat. Obecnie żyje ciocia Wandzia; jest sprawna umysłowo, ukończyła w 1982 r. sto lat. Erazm i Józef żyli i zmarli na Syberii. Na Ukrainie pozostali: Paulina (ciocia Pawcia), Eleonora (ciocia Lonia), Wanda (ciocia Wandzia), oraz Apolinary (wujaszek Polo). Imiona z powieści sentymentalnych, namiętnie czytanych przez babcię.

Utrzymywali oni ze sobą i z nami stałe i częste kontakty. U cioci Pawci spędzaliśmy prawie wszystkie nasze wakacje. Ciocia Wandzia przez długi czas mieszkała u nas. Ośrodkiem życia rodziny był

dom mojej Matki. Zdołaliśmy przeżyć wojnę i rewolucję, gdyż mieliśmy gdzie się ukryć i ratować w dniach głodu, tyfusu i prześladowań.

Drugi okres rodzinnego życia datuje się od powtórnego zamążpójścia Mamy, za Jana Zeberga w 1904 r. Był to geometra, Łotysz; nauczył się mówić po polsku i ubóstwiał Sienkiewicza. Ojczym był budowniczym kolei żelaznych i zamierzał po ślubie wystąpić w charakterze samodzielnego przedsiębiorcy. Pożyczył w tym celu parotysięczną odprawę wujaszka Adolfa Godziejewskiego (męża cioci Pawci) oraz tysiąc rubli w kasie Zapomogowej Towarzystwa Łotewskiego. W oparciu o ten szczupły kapitał podpisał z głównym przedsiębiorcą Giembickim umowę na zbudowanie 3 km torów odgałęzienia kolei Sarny-Kowel w Biełokorowiczach. Terminu nie dotrzymał i zgodnie z umową został usunięty z dalszej budowy; włożony kapitał przywłaszczył Giembicki. Rozpoczął się długi proces, który zakończyła wojna 1914 r.

Dowiedzieliśmy się o tym po kilku latach od Mamy. Główny poszkodowany, wujaszek Adolf, nigdy nam o tym nie wspomniał.

Niezależnie od spraw ojczyma Mama jak dawniej prowadziła stołówkę i wynajmowała pokoje. W tym okresie zbierało się u nas dość liczne młode towarzystwo na wieczorki taneczne. Byli tam stołownicy, młode ciotki i ich koleżanki, studenci, a także monterzy i tokarze kolejowi, młodzi Polacy z zubożałych rodzin. Na składkowych kolacjach nie było alkoholu, młodzież była ubrana dobrze i zachowywała się bez zarzutu. W tych dniach dom przybierał postać odświętną.

Lata 1904-1906 były najpomyślniejszym okresem w życiu rodziny, okresem spokoju i nadziei. Pamiętam późne letnie

wieczory, gdy siedząc w cichym ogródku koło domu marzyliśmy o tym, aby przenieść się do jednorodzinnego domku, których kilka właściciel posesji budował na dole, i aby Mama przestała pracować nad siły.

W 1903 r. rozpocząłem naukę w szkółce polskiej babci Ułaszyn. Przez parę lat szkoła mieściła się w naszym mieszkaniu, a potem babcia ją przeniosła do dużego frontowego domu, zbudowanego w tym czasie przez Sidorowa. Szkoła była doniosłym wydarzeniem w moim życiu. Ogrom nieznanych zjawisk, wydarzeń, problemów. Świat gwałtownie rósł i pogłębiał się. Wyłaniała się olbrzymia kula ziemiska, kontynenty, morza, oceany, lodowce; jeszcze dalej Księżyc i Słońce. Tajemniczy był pokój do nauki z modelem krążącej Ziemi i Księżyca, z maszyną elektryczną, wypchanymi barwnymi ptakami i kościotrupem człowieka.

Głównym przedmiotem nauczania w szkołkach był język polski, a obok niego historia. Wychowywano nas w duchu gorącego patriotyzmu.

Niezapomniane były występy w żywych obrazach i teatrykach, organizowanych przez Towarzystwo Oświaty Ludowej. Do dziś pamiętam teksty z inscenizacji „Na jagody” Marii Konopnickiej i innych utworów. Deklamowałem je po wielu latach dzieciom i wnukom. Dekoracje, stroje i zapach prawdziwych choinek imitujących las na scenie zamieniły realny świat na świat baśni.

Niezapomniane były także choinki dla ubogich dzieci, organizowane przez Towarzystwo Dobroczynności. Odbывały się one w Sali „Ogniwa” na Luteriańskiej, lub w salach Stowarzyszenia Szlacheckiego (Dworianskoje Sobranije) na Kreszczatyku, obok wejścia do dawnego Parku Cesarskiego. Olbrzymia choinka,

wszędzie cukierki, pierniki i dary książkowe. Bałem się jednak tłumu obcych dzieci, a zwłaszcza bałem się zgubić.

Wielkim przeżyciem w tym okresie była rewolucja 1905 roku. 13 października Wojtek i ja wyszliśmy z Mamą do miasta. Widok ulic był dziwny, ale interesujący; tłumy ludzi uradowanych, ożywionych; dużo czerwieni. Ludzie słuchają uważnie tego co mówią mężczyźni krzyżący i balansujący na skrzyniach lub stołach. Wieczorem przywieziono do nas nauczycielkę, panią Dobrowolską; była poraniona i potłuczona – ofiara ataku kozaków. Kiedyś wieczorem zdumiał mnie nieznamy tłum stojących u nas w salonie rozmawiających robotników. Parę razy jacyś obcy mężczyźni pili u nas herbatę i nocowali.

Zupełnie inaczej, ale także interesująco, wyglądało miasto po paru tygodniach. Gnani ciekawością poszliśmy z naszym prowodyrem i kolegą Michasiem Raugiewiczem na Kreszczatyk. Pełno tłuczonego szkła, różne towary i rzeczy na ulicy; ludzi mało, To pogromy. Mama, po naradzie z dozorcami, przeniosła nas na noc do piwnicy. Po raz pierwszy usłyszałem wtedy hasło: „Bij Żydów, studentów i Polaków!” Wówczas to hasło nie przyniosło mi żadnej krzywdy, ale zacytowane na posiedzeniu Rady Wydziału Filozoficzno-Historycznego w 1968 r.

stało się dla mnie przyczyną wielu przykrości i niepowodzeń. Obawy Mamy w 1905 r. były spowodowane tym, że naszymi sąsiadami byli działacze Związku Rosyjskiego Ludu (Sajuz Ruskawo Naroda); okazało się jednak, że to właśnie oni ochraniaли nasze podwórko przed pogromem.

W 1908 r. Ojczym wrócił z nieukończonych budowy beznadziejnie zadłużony. W tym czasie chłopci na Ukrainie, zgodnie z apelem Stołypina, dzielili gromadzkie grunty i zakładali indywidualne chutory; było więc duże zapotrzebowanie na geometrów. Ojczym otworzył biuro miernicze; jednak, jak się okazało, będąc człowiekiem pracowitym i uczciwym nie potrafił zorganizować samodzielnej pracy. Do wybuchu wojny nie mógł pomagać Matce, która borykała się z coraz większymi trudnościami.

W 1907 r. wujaszek Adolf przeszedł na emeryturę. Wujostwo zlikwidowali mieszkanie przy cichym zadrzewionym zaułku Bulwarno-Kudriawskim. Załadowali rzeczy i meble do towarowego wagonu, a sami – korzystając z bezpłatnego przejazdu drugą klasą pociągu osobowego (były wtedy 4 klasy w pociągach) – w towarzystwie służącej Zosi, Litwinki, oraz setera Ledi wyjechali pociągiem do Niewieran, folwarku wuja na Litwie.



Ciocia Pawcia, aby rozstanie z rodziną nie było zupełne, zabrała ze sobą Jankę i mnie. Podróż trwała 3 dni i była wielką przygodą. Miałem wtedy 10 rok. Niewierany, otoczony lasami mająteczek, zapewniły nam całoroczny kontakt z przyrodą, ludem wiejskim i pracami na roli. Był to wyjątkowy, niezwykły rok.

W 1907 r., gdy byłem na Litwie, znowu zaszły zmiany w naszym domu. Otóż pozostała tylko jedna lokatorka, pani Kulikowska; zmniejszyła się także liczba stołowników, natomiast pojawiło się pięciu chłopców na stacji. Po moim powrocie z Litwy było nas siedmiu chłopców w wieku 11-15 lat. Była to wspólnota pełna inicjatywy i pomysłów, szukająca wszystkich możliwych ujęć dla nadmiaru energii. Po pewnym czasie najstarszy z nas, Henek Chocimski, potrafił skierować nasze zainteresowania w stronę literatury, teatru amatorskiego, a nawet poezji.

Zajmowaliśmy dwa pokoje urządzone ze spartańską prostotą; były tam twarde łóżka, stoły do pracy, krzesła, dwie szafy i półki na książki. Na prace szkolne przeznaczaliśmy niewiele czasu; znacznie więcej na czytanie, dyskusje i redagowanie pisanego ręcznie miesięcznika. Umieszczaliśmy w nim sprawozdania z przeczytanych książek, rozważania o sprawach bieżących i wiersze – na wzór Kazimierza Tetmajera i Aleksieja N. Apuchtina. Najciekawsze w tych próbach były parodie, wzajemne wyśmiewanie swych utworów. Wystawialiśmy także jednoaktówki Czechowa we własnym tłumaczeniu, i inne. Teatr polski znaleźliśmy tylko z gościnnych występów zespołów warszawskich. Do teatrów rosyjskich, Opery i Sołowowa z braku pieniędzy chodziliśmy rzadko.

W organizowaniu przedstawień brały udział Mania Traczewska i Dziunia

Dąbrowska, panienki z zamożnych domów. Prowadziły one tajemnicze dla nas życie w pięknych mieszkaniach na wyższych piętrach, spędzając wakacje zagranicą i mówiąc dobrze po francusku – czego nie potrafiła nas nauczyć ciocia Walunia. Starsi chłopcy kochali się w nich i prowadzili ożywioną korespondencję, umieszczając listy pod ławkami oszklonej z góry szerokiej klatki schodowej. Z wizyt u tych dziewcząt wracaliśmy zjeżdżając po poręczach gęsiego.

Letnie popołudnia spędzaliśmy zupełnie inaczej. Całą kompanią wyruszaliśmy na podwórka, gdzie występowaliśmy jako rodzaj gangu. Usiłowaliśmy opanować nie tylko własne podwórka, ale zdominować sąsiednie, przedostając się tam karkołomnymi przejściami przez mury i dachy. Z wypraw tych przynosiliśmy guzy, a czasem odkrywaliśmy zapomniane przez ludzi zakątki zarośnięte trawą i krzewami.

Często wyruszaliśmy do okolicznych lasów lub wzgórz i urwisk dniewprowskich, najczęściej do jeziorok w Syrcu, lub płynęliśmy statkami do Międzygórz (20 km w górę Dniepru); albo w dół do Kitajewa, gdzie na każdym zalesionym wierzchołku stał klasztor lub kaplica.

Dzięki tym latom brat mój, Wojciech, będąc jeszcze w szkole został sprawozdawcą obu kijowskich czasopism sportowych oraz umieszczał satyryczne wiersze w jednej z gazet. Pisał wiersze przez całe życie, ale drukował tylko do rewolucji. Jak już wspomniałem, wiersze pisane w obozie karnym w okręgu Siewierouralskim [północno uralskim – red.] ocalały mu życie.

Dla mnie z tych lat pozostało umiłowanie poezji i nieustająca potrzeba kontaktu z literaturą; pozostał także nastrój kontemplacji i oderwania od świata, ogarniający mnie w przestronnych salach

bibliotek. Biblioteki pozostały przedmiotem moich szczególnych zainteresowań przy zwiedzaniu krajów i miast.

Niektórych towarzyszy tamtych lat spotkałem w późniejszym życiu. Henek Chocimski, nasz przywódca, wyjechał do Paryża i zginął w 1914 r. walcząc w oddziale Bajorczyków Legii Cudzoziemskiej. Jego brat Jacek, pracownik bankowy w Poznaniu, stał się maniakiem naukowym astronomii. Edka Witlińskiego, kolegę Brzechwy z Drugiej handlowej Szkoły Kijowskiej, spotkaliśmy jeszcze raz po dziesięciu latach. Widział nas w towarzystwie uzbrojonych marynarzy na stacji Popielnic w czasie pacyfikacji okolicy i dał znać Mamie, że zostaliśmy rozstrzelani. Karola Galstera spotkałem po 30 latach we Włodzimierzu jako zastępcę komendanta Szkoły Podchorążych Artylerii. Według moich informacji wojny nie przeżył.

Po paru latach zamożniejsi rodzice, którym wyżywienie wydało się zbyt skromne, przenieśli swych synów – wbrew ich gwałtownym protestom – do innych stacji. Pozostali ubożsi i ci, którym Matka często musiała dopomagać.

Nastały trudne czasy. Zmorą było komorne, czesne i buty. Czesne dotyczyło tylko mnie, gdyż za Wojtka płacił związek przemysłowców żydowskich; uczył się on w szkole handlowej prowadzonej przez ten związek i uzupełniał procent uczniów chrześcijan, co było warunkiem istnienia szkoły. Janka (siostra) uczyła się bezpłatnie w szkole średniej, prowadzonej przez Niemkę p. Krüger. Natomiast ja uczyłem się w szkole realnej państwowej i mogłem być przez szkołę jako Polak zwalniany tylko z połowy czesnego; drugą połowę płaciło za mnie Polskie Towarzystwo Dobroczynności. Z reguły nim to następowało musiałem parę tygodni przesiedzieć w domu.

Sprawę ubrań załatwiała babcia Ułaszyn, mająca wpływ na rozdział przez Towarzystwo Dobroczynności używanych mundurków. Buty natomiast były przez wszystkie te lata trudnym dla Mamy problemem. Najtrudniejszą wszakże sprawą było komorne. Mama często zalegała z opłatą za kilka miesięcy.

Niewątpliwie, nawet tak twardy człowiek jak Sidorow uwzględniał sytuację Matki, najstarszej zresztą lokatorki. Pomimo to dwa razy doszło do licytacji. Byliśmy przerażeni. Pozbawienie mieszkania wydało się nam czymś niemożliwym; jakby nie tylko nasz dom, ale całe życie waliło się w przepaść. Licytacja byłaby przekreśleniem celu, do którego Mama z całym uporem dążyła: dać nam wyższe wykształcenie. Przy pierwszej licytacji przekupnie zrezygnowali z udziału (w każdej duszy tkwią humanitarne uczucia); Mama mogła za przysłane przez ciotki pieniądze odkupić wszystkie opisane meble.

Druga licytacja była wyznaczona na 10 maja 1911 roku. Tym razem dług był bardzo duży, przekraczał 250 rubli. Nie było żadnych widoków na uiszczenie go. Ciocia Wiktorcia już nie żyła. Możliwości pozostałych krewnych były bardzo małe. Stołownicy w przeddzień licytacji zwrócili uwagę na przygnębienie, którego Matka nie potrafiła ukryć. Po ujawnieniu przyczyny, Tatiana Iwanowna (którą parę lat później spotkał los niezwykły nawet w skali rewolucji) zaproponowała zbiórkę. Z zebraną kwotą delegacja stołowników udała się do biura Sidorowa. Gospodarz początkowo nie zrozumiał, o co chodzi, a potem przyglądał się im podejrzliwie jak nie w pełni normalnym osobom.

Od 1912 roku rozpoczął się ostatni okres domu rodzinnego. Brat mój i ja byliśmy całkowicie pochłonięci sportem.

Namiętnością do sportu zaraziliśmy także naszego długoletniego lokatora Adama Kossa, który przypłacił to złamaną na treningu ręką. Adam Koss przyjechał do Kijowa w roku 1909 jako student Politechniki Warszawskiej, bojkotowanej przez Polaków. Ukończył Politechnikę Kijowską, habilitował się tu i po wojnie był pierwszym dziekanem Wydziału Farmakologii Uniwersytetu Warszawskiego.

Do roku 1913 mieszkał u Mamy. Jego nietolerancyjny patriotyzm zdumiewał nas. Wiedzieliśmy i pamiętaliśmy o tym, że jesteśmy Polakami, ale to nie przeszkadzało nam w kontaktach towarzyskich z Rosjanami i w docenianiu rosyjskiej kultury, a zwłaszcza literatury. Natomiast Koss nie znosił wszystkiego co rosyjskie. W swym zapamiętaniu patriotycznym przewyższał babcię Ułaszyn. Nauczył mnie nie tylko algebry, ale szacunku dla wiedzy i sumienności w pracy naukowej.

Na stacji było teraz tylko dwóch chłopców; reszta to dziewczęta – koleżanki Janki. Mieszkały w części przedzielonego pokoju jadalnego. Towarzystwo wieczorków tanecznych przeniosło się do klubu ukraińskiego i tam, w dobrej zgodzie z Ukraińcami, bawiono się co tydzień, aż do wybuchu wojny.

Utrzymanie domu stawało się coraz trudniejsze. Wydatki przewyższały znacznie dochody. Coraz częściej trzeba było uciekać się do pożyczek, lub nawet skromnej pomocy ciotek, które pracowały jako wychowawczynie domowe.

W wieku 15 lat zarabiałem jako kopietor, ale było to bardzo mało. Brat mój sprawiał Matce wiele kłopotów; powtarzał wszystkie klasy, począwszy od czwartej, i zmieniał szkoły. Doprowadzenie go do matury wymagało od Matki

nieugiętej woli i wielkiego wysiłku. Trzeba jednak powiedzieć, że w okresie 1917-1924 r. Wojtek ukończył Uniwersytet Kijowski ze stopniem kandydata nauk (pisząc dobrą pracę o parlamentarystyce na przełomie XIX i XX stulecia). W tym też okresie ukończył Instytut Ekonomiczny w Kijowie i Wydział Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Wybuch wojny powitaliśmy z ulgą i nadzieją. Wiedzieliśmy dobrze, że w każdym przypadku wojna odmieni złe losy narodu polskiego. Uległy moratorium wszystkie zaległe długi. Los rodziny uległ radykalnej zmianie. Ojczym wyruszył na front jako oficer inżynierski. Przed nami otworzyły się duże możliwości zarobku.

Wszystkie nasze długi udało się nam spłacić już w 1915 r.

Nasz dom rodzinny, dom naszej Matki, był na oścież otwarty. Tłum dzieci, kobiet i mężczyzn przepływał przez niego. Dla nas był on szerokim polem obserwacji, doświadczeń, podnieć i przykładów.

Życie człowieka dorosłego zależy od warunków, w jakich wyrastał. Pełne problemów, bujne dzieciństwo zapewni mu bogactwo życia duchowego. Współczesny człowiek duchowo wyczerpuje się szybko i często pozbawiony jest sił twórczych i wyobraźni. Nowe przeżycia i doznania jak puste kalorie nie żywią jego intelektu. Człowiek na świat reaguje peryferyjnie, wytworzonymi stereotypami.

Poznaliśmy w dzieciństwie co to cierpienia, niedostatek i odwaga. Nauczyliśmy się od Matki cenić życie i świat, w którym trzeba przewidywać i walczyć, aby osiągać. Żyliśmy w trudnym okresie wielkich konfliktów i przemian, ale pozostaliśmy zawsze takimi, jakimi wychował nas rodzinny dom. □



DANUTA STOLAREK

## KATARZYNA WIELKA (część II)

Za panowania Katarzyny Rosja zmieniła wektory polityki zagranicznej z obronnej na imperialną. Kanclerz A. Bezborodko stwierdził: „... bez naszej wiedzy w Europie nie śmie wystrzelić ani jedna armata...”. Nie była to zwykła chęłpliwość. Znacznie powiększyło się terytorium cesarstwa: oprócz Krymu, Kaukaz (Gruzja), ziemie polskie. Katarzyna stworzyła „sojusz trzech czarnych orłów”. Powiększyła tymi działaniami liczbę mieszkańców Rosji o siedem milionów nowych obywateli.

Jak już wyżej wspomniano, caryca marzyła o „projekcie greckim”, to znaczy o odbudowie imperium bizantyjskiego. Zmiany te gorąco popierał Wolter, wielbiciel kultury helleńskiej. Imię Konstanty otrzymał drugi z wnuków Katarzyny. Malca od dzieciństwa kazała uczyć greki. Widziała go oczyma wyobraźni na tronie pradawnych monarchów bizantyjskich. Niestety, pomimo usilnych działań antytyureckich, projekt okazał się utopią. Konstanty zakończył karierę polityczną jako carski namiestnik w Warszawie.

Katarzyna II podczas całego panowania promowała na Zachodzie nie tylko Rosję, ale i siebie jako oświeconą, nowoczesną władczynię. Korespondowała z Grimmem, Wolterem, Diderotem, którego nawet zaprosiła do odwiedzenia Rosji.

W trakcie wizyty caryca i filozof odbyli 60 wielogodzinnych dyskusji. Władczyni kupiła jego bibliotekę za ogromną wówczas sumę sześćdziesięciu tysięcy franków z prawem do dożywotniego

korzystania. Zatem Diderot został jej bibliotekarzem. Jego honorarium wypłacono na kolejne 50 lat z góry. W 1784 roku kupiła dla niego apartament w Paryżu. Nie-



estety, obdarowany nie zdążył nacieszyć się prezentem, bo zmarł 12 dni później.

Katarzyna kupiła także bibliotekę Woltera i wszystkie jego papiery, w tym swoje listy pisane do słynnego filozofa. Od spadkobierców nabyła także statuetkę pisarza autorstwa Hondona. Po rewolucji francuskiej kazała wynieść ją na strych, zamknięty księgozbiór porastał kurz. Poza Katarzyną pierwszym czytelnikiem zasobów biblioteki Woltera był (za zgodą cara Mikołaja I) sam Aleksander Puszkina.

Katarzyna korespondowała także z F.M. Grimmem, którego poznała, gdy przyjechał w świącie księżniczki Hesen-Darmstadt na ślub z synem carycy, Pawłem. Zaproponowała Grimmowi pozostanie na dworze petersburskim, ale Grimm odmówił.

Po jego drugim pobycie w Rosji, w roku 1776 ich przyjaźń jeszcze się zacieśniła. W latach 1774-1796 prowadzili ze sobą ożywioną korespondencję. Caryca wiele pisała o dwóch faworytach, sugerując, by Grimm „poprawił” jej nadwątloną reputację w Europie

i przedstawiał ich jako mężów stanu, a nie tylko kochanków. W roku 1792 mianowała go rosyjskim rezydentem w Gotha, a potem w Hamburgu.

Ważny dla niej był fakt, że Grimm w latach 1753-1792 wydawał w Paryżu odręcznie pisaną gazetę „Correspondence litteraire, phiosophique et critique”. Periodyk ten miał zaledwie 15-16 egzemplarzy, ale był czytany na wszystkich ważnych dworach Europy. To tam była publikowana jej korespondencja z Wolterem i Diderotem. W listach tych Katarzyna błyszczała wiedzą, odczytaniem, postępowymi poglądami. Można rzec, że była pierwszą mistrzynią politycznego PR. Budowała przy pomocy prasy swój wizerunek oświeconej monarchini.

Grimm oddał jej nieocenione zasługi jako pośrednik w nabywaniu w całej Europie obrazów i innych dzieł słynnych mistrzów. Był nazywany marszandem Katarzyny II.

Również Diderot polecił jej słynnego rzeźbiarza E.M.Falconeta, aby wykonał znany pomnik Piotra I (twarz cara wykonała A.M.Collo – uczennica mistrza). Pomnik Piotra I jest niezwykle symboliczny nie tylko ze względu na swój wyraz artystyczny. Znaczenia symbolicznego dodaje mu napis: „Piotrowi I Katarzyna II”, wykonany po rosyjsku i po łacinie. Podkreślona została tym samym nie tylko kontynuacja piotrowych reform, ale i wyjątkowa pozycja obydwójga imperatorów w dziejach Rosji. Katarzyna subtelnie przypominała Rosjanom, że tytuł „Wielkiej” zaproponowali jej już w 1767 roku. Okazało się, że tylko ta dwójka będzie nosić ten przydomek spośród wszystkich panujących w Rosji. Docenia się również i to, że za pośrednictwem działań Potiomkina zaznaczyła swoją rolę w budowaniu potęgi Rosji na południu. O skutkach ekonomicznych

i demograficznych zagarnięcia ziem nad Morzem Czarnym i rozbiór Polski napisano już wcześniej.

Najwspanialszym pomnikiem działalności kulturalnej Katarzyny Wielkiej pozostanie bez wątpienia Ermitaż. Wzbogaciła kolekcję obrazów, zakupionych jeszcze przez Piotra I, skupowała dzieła sztuki w całej Europie. Jej pośrednikami byli kolekcjonerzy, znawcy sztuki ze wszystkich krajów Zachodu. Nie-



którzy pogardliwie nazywali ją największą handlarką Europy. Kupowała kolekcje niemal hurtowo, niektóre za bezcen, za inne płaciła ogromnie wygórowane kwoty, byle je sprzątnąć sprzed nosa innym monarchom. Kupowała także dzieła, na które skąpy Fryderyk II pożałował pieniędzy. Jeśli na wywóz jakichś dzieł było embargo – korzystała z podstawionych osób.

Nabywała wszystko, co miało wartość artystyczną. Nabyła m.in. kolekcję Crozata, liczącą 570 obrazów malarstwa włoskiego, francuskiego, flamandzkiego, holenderskiego. W kolekcji tej są m.in. dzieła Tycjana, Van Dycka, Veronese'a, Rembrandta, Rafaela. Jej własnością stała się kolekcja z pałacu Brühla. Kolekcja Braancampa, zakupiona w Holandii, zatona na Bałtyku podczas sztormu. Swoje zbiory powiększała o rzeźby księcia orleańskiego i kolekcję księcia de Choiseul. Zamówiła płótna Chardina i Veroneta oraz „Dianę” Hudona.

Dla swojej kolekcji kazała dobudować nowe skrzydło do Pałacu Zimowego, nazwane Ermitażem. Tam pomieściła wszystkie najwspanialsze dzieła sztuki.

Nie doceniała twórców rosyjskich, mimo, że Akademia Sztuki mogła już poszczycić się wybitnymi absolwentami. Wielu z nich ją portretowało.



Katarzyna kolekcjonowała także kamienie szlachetne. W swych zbiorach miała ich ponad 10 tysięcy. Interesowały ją również dzieła sztuki jubilerskiej i okazy rzeźby antycznej.

Z niebывалым zapałem rozbudowywała Petersburg. Z jej inicjatywy powstały wspaniałe pałace, instytucje użyteczności publicznej. Zakładała parki ozdobione licznymi rzeźbami, podjęła próby regulacji układu urbanistycznego Moskwy i wielu innych miast. Wprowadziła swoistą modę na zakładanie ozdobnych parków, na architekturę ogrodową itp.

Rozbudowała Pałac Wielki w Peterhofie, przebudowała pałac w Carskim Siole. Zatrudniała architektów z Włoch, Francji i Anglii. Pojawili się też rodzimi architekci: Kozakow, Bażenow, Starow. Autorami wielu rzeźb byli Rosjanie – np. Szubin. Mimo, że zaczęła cenić dzieła rodzimych artystów – nie przejawiała troski o ich autorów. Chętniej zaopatrywała się za granicą niż w Rosji. Zjawisko rosyjskiego „baroku żelazawieńskiego”

zastąpił klasycyzm. Zaczęto opracowywać koncepcje urbanistyczne miast, by wyeliminować chaos w zabudowie, jaki miał miejsce w ówczesnej Moskwie i w miastach gubernialnych. Za jej panowania w Rosji zbudowano 216 miast.

Katarzyna zatroszczyła się o wydanie drukiem wielu starych kronik („Słowo o wyprawie Igora”), bylin – utworów funkcjonujących dotąd w ustnych przekazach. Jest to okres doskonalenia rosyjskiego języka literackiego, który do perfekcji wkrótce doprowadził Aleksander Puszkina (za panowania jej wnuków).

Caryca posiadała talent literacki. Aktywnie tworzyła w latach 1769–1783. W Instrukcji dla wychowawcy swych wnuków zawarła myśl pedagogiczną XVIII wieku. Pisała też bajki alegoryczne. Oczywiście jeden z egzemplarzy przeznaczony był dla wnuków.

W swej twórczości korzystała z wzorów Montaigne’a i Locka. Sporą uwagę poświęciła harmonijnemu wychowaniu intelektualnemu i fizycznemu. Z myślą o prawidłowym wychowaniu następców tronu przygotowała bibliotekę dydaktyczną.

Dała się także poznać jako publicystka. Była autorką licznych tekstów satyrycznych, w których piętnuje wady Rosjan, takie jak pogoń za modą, hipokryzję, uleganie zabobonom, pijaństwo, brak manier i niechęć do nauki.

Spod jej pióra wyszło też pięć sztuk satyrycznych (nie najwyższego lotu), przeznaczonych dla teatru dworskiego: „Kłamca okłamany”, „O czasy!” i inne.

Jej ambicją było wzbogacenie repertuaru teatru narodowego. Napisała antymasońskie komedie: „Szaman Syberyjski”, „Kłamca”, „Omamiony”.

Najbardziej lubiła komedie, a repertuar francuski, tak niegdyś uwielbiany, najwyraźniej ją nudził, a nawet irytował.

Uważała, że przedstawienie winno kończyć się happy-endem. Samowolnie dokonywała ingerencji w teksty sztuk, by były optymistyczne. Tak stało się np. z „Tankredem” Woltera.

Podobnych zabiegów ponad sto lat później, tylko że na treści filmów rozkazał dokonywać Stalin.

Katarzyna ulega fascynacji niemieckojęzyczną. Nie zapomnijmy o jej prawdziwej narodowości. Tworzy swoisty germański kanon literacki, ale nie uwzględnia w nim Goethego, Schillera, Lessinga.

Nie uznaje muzyki – nie tylko niemieckiej, ale żadnej. Jej stwierdzenie stało się głośne, przeszło do historii jako przysłowie: „moje ucho na muzykę głuche”. Jednak, gdy jej aktualny faworyt F. Łanskoj chce uchodzić za melomana – sprowadza znanego kapelmistrza Sartięgo. W Ermitażu były zatem urządzone koncerty, podczas których Katarzyna śmiertelnie się nudziła.

Z inicjatywy carycy od 1769 roku ukazuje się tygodnik satyryczny „Wsiakaja wsiaczina”, czyli „Różne różności”. Katarzyna sama zamieszcza tam publikacje, polemizuje ze śmiałym czasopiśmie satyrycznym „Truteń” (1769 – 1774). Czasopismo to krytkowało wojewodów, gubernatorów, sędziów i prokuratorów. Zwracało uwagę na patologie w życiu społecznym Rosji.

Władczyni wspiera działalność wybitnego pisarza i publicysty, krzewiciela oświaty i tłumacza – N. Nowikowa. Autor ten stworzył wiele punktów „Instrukcji” dla Komisji Ustawodawczej, a później był sprawozdawcą z jej obrad. Stworzył podwaliny naukowej systematyki materiałów historycznych. W latach 1778-1791 wydał 10 tomów materiałów historycznych i dokumentów dotyczących historii Rosji, kolejne 10 tomów

Akademia Rosyjska wydała w roku 1802. N. Nowikow był również wydawcą literatury zachodniej oraz pisarzy rosyjskich. Łącznie wydał prawie tysiąc tytułów literatury krajowej i zagranicznej, wiele słowników. Był inicjatorem wydania pierwszego w Rosji słownika biograficznego pisarzy rosyjskich.

Ciekawą inicjatywą było wydanie dwudziestu numerów pisma edukacyjnego dla dzieci oraz „Biblioteki dla damskiej toalety”. W wydawnictwie tym publikowano nie tylko utwory literatury salonowej, lecz także porady dotyczące mody i pielęgnacji urody.

Niestety, N. Nowikow zaangażował się w działalność masonską. Katarzyna, widząc w tym wichrzyielski wpływ rewolucji francuskiej, stopniowo ograniczała jego działalność publicystyczną i wydawniczą. Nawet gdy zaangażował się w działalność charytatywną podczas głodu w roku 1787, caryca patrzyła nań wciąż podejrzliwie.

W roku 1786 na mocy carskiego dekretu ukazuje się indeks ksiąg zakazanych, obejmujący z początku 23 tytuły.

W roku 1790 Katarzyna rozkazuje aresztować A. Radiszczewa za jakoby rewolucyjny utwór „Podróż z Petersburga do Moskwy”, w którym ukazał prawdziwe oblicze pańszczyźnianej Rosji.

Inny twórca, D. Fonwizin, za krytykę barbarzyńskiego, prostackiego, nieokrzesanego i niewykształconego (w znakomitej większości) ziemiaństwa znalazł się w areszcie domowym. Pokazał poziom intelektualny i moralny ówczesnych dziedziczek.

Na początku swego panowania, pozująca na władczynię liberalną Katarzyna, przymilając się do J.J. Rousseau, mawiała: „Ufajcie tylko tym, którzy mają odwagę sprzeciwić się wam”. Gdy jednak rewolucyjne nastroje we Francji

przybrały na sile, po liberalizmie Katarzyny nie zostało ani śladu. Okazało się, że jest despotką, że panicznie boi się spisków, ale dbając o pozory, kokieteryjnie zapewniała, że boi się radykalnych zmian, bo ona „swoje dekrety pisze nie na papierze, a na wrażliwej skórze podanych”. Wierzyła, że jakobini przygotowują spisek na jej życie. Bała się rewolucjonistów i masonów. Bała się buntu rzeczywistego, jak i domniemanego. W kwietniu 1792 roku N. Nowikow został aresztowany pod pretekstem nadużyć finansowych i osadzony w twierdzy w Szlisselburgu.



Jej Imperatorska Wysokość sama kierowała śledztwem, pisała pytania dla śledczego. Większość pytań dotyczyła środowisk masonskich, ich celów i powiązań politycznych. Nowikow został skazany na 15 lat więzienia w twierdzy. Po śmierci Katarzyny nazajutrz został uwolniony przez cara Pawła.

Niezależnie od tragicznego losu N. Nowikowa, należy przyznać, że czasopiśmiennictwo i edytorstwo, a także działalność popularyzatorska w epoce Katarzyny była w rozkwicie. Działo się tak aż do końca lat osiemdziesiątych XVIII

wieku. To zjawisko stworzyło fundamenty „złotego wieku” rosyjskiej literatury wieku XIX. Intelktualistka Katarzyna nie umiała docenić najwybitniejszych umysłów swej epoki. Strach przed masonerią był silniejszy niż obiektywna ocena wkładu Nowikowa w rozwój kultury intelektualnej Rosji.

Sferą z pogranicza życia rodzinnego i obowiązków państwowych Katarzyny było wychowanie wnuków. Katarzyna, choć sama była pozbawiona prawa do wychowania syna („następca tronu należy do Imperium”), powtórzyła błąd Jelizawiey. Sama decydowała o imionach swoich wnuków, o ich wychowaniu i kształceniu, wybierała przedmioty, dobierała nauczycieli. Ustaliła surowe reguły postępowania, sama odpowiadała za wychowanie i edukację wnuków do ich siódmego roku życia. Dla najstarszego wnuka sama ułożyła elementarz. Aby wnukom wpoić idee liberalne i oświeceniowe, sprowadziła ze Szwajcarii C.F. Laharpa, fanatka wolności i sprawiedliwości. Jednakże kiedy echa idei rewolucyjnych zaczęły z Paryża napływać do Petersburga, odprawiła go z dworu. Laharp zachował przyjacielskie relacje ze swoim wychowankiem, przyszłym carem Aleksandrem, co potwierdza ich wzajemna korespondencja.

Aleksander należał do najstarszanniej i najbardziej wszechstronnie wykształconych monarchów ówczesnej Europy. Zdaniem Katarzyny to on właśnie winien zasiąść na rosyjskim tronie, nie zaś jego ojciec Paweł, którego imperatorowa uważała za głupca i szaleńca.

Innego z wnuków, Konstantego pasjonowała wojskowość. W planach Katarzyny, miał wieńczyć „projekt grecki” jako władca Konstantynopola, Grecji i całego świata prawosławnego zjednoczonego pod berłem rosyjskim



Konstanty od wczesnego dzieciństwa uczony był języka greckiego, poznawał kulturę basenu Morza Egejskiego. Nawet sprowadzono mu mamkę Greczynkę „spod Olimpu” według wytycznych Katarzyny. Dalsze losy Konstantego pokazały, jak złudne były jej iluzje.

Narodził się trzeci syn w 1796 roku (przyszłego cara Mikołaja) wprawił Katarzynę w stan furii. Dziewiąte dziecko w rodzinie Pawła i Marii urodziło się zbyt późno, by caryca – babcia zdążyła go należycie wychować, a nie miała za grosz zaufania do rodziców.

Projektowała dla wnuków odzież niemowlęcą i dziecięcą. W tamtych czasach nie znano pojęcia „odzież dziecięca”. Stosowano po prostu miniaturę odzieży dla dorosłych. Katarzyna projektuje odmienną, a przede wszystkim praktyczną odzież dziecięcą. Śpioszki i kombinezony dziecięce, zapinane na płaskie haftki z tyłu nie przyjęły się w Rosji. Jednak zachowały się listy szwedzkiej pary królewskiej, wylewnie dziękujące Katarzynie za przesłane dary, zawierające wykroje i odzież dla dzieci. Jeden egzemplarz kombinezonu niemowlęcego projektowanego przez carową zachował się w Szwecji. W Paryżu aż do II wojny światowej prosperował sklep z odzieżą niemowlęcą i dziecięcą „Catrine”, gdzie czasem w poszczególnych modelach wprowadzano nieznaczne modyfikacje, np. zamki błyskawiczne.

Caryca była zwolenniczką tzw. „zimnego wychowu” dzieci. Mimo surowego klimatu Petersburga okna miały być

otwarte przez cały rok. Szerokość otwarcia regulowano w zależności od temperatury, temperatura pomieszczenia nie przekraczała 14-15 stopni. Propagowała zimne kąpiele. Wnukowie od dzieciństwa musieli się „osłuchać” z hałasem pola bitew, co doprowadziło do częściowej utraty słuchu u Aleksandra, gdy armata wystrzeliła obok niego.

Katarzyna II jest bohaterką setek publikacji naukowych, wydanych zarówno w Rosji, jak i za granicą. Jawi się najbardziej kontrowersyjną osobowością na rosyjskim tronie. Niewątpliwie w XVIII wieku, epoce „babskich rządów” była najbardziej wykształconą i najbardziej nadającą się do sprawowania władzy.

Wybitny rosyjski historyk W. Kluaczewski podkreślał jej niezwykle elastyczny i ostrożny sposób myślenia, wyjątkową spostrzegawczość, znakomitą pamięć. Miała wybitne zdolności zarówno w sferze analizy, jak i syntezy postrzeganych zjawisk i faktów. Była świetnym psychologiem i socjotechnikiem. Potrafiła celnie ocenić kwalifikacje ludzi typowanych na różne ważne stanowiska. Miała mocną osobowość, umiejętnie łączyła męski rozum i kobiecy wdzięk, zawsze zachowywała przytomność umysłu. Miała niebywały dar polemiki i dysponowała zawsze celną i kulturalną ripostą. Śmiała i bezwzględna w polityce zagranicznej. Skuteczna w swych działaniach. Konflikty między europejskimi władcami umiejętnie wykorzystywała w interesie Imperium. Była wyjątkową realistką. Umiejętnie kokietując ówczesne autorytety (Wolter, Diderot, Grimm) buduje w Europie swój obraz liberalnej, nowoczesnej, „ludzkiej” władczyni. Głosiła tolerancję religijną, ale ukazywała się światu, demonstracyjnie obnosząc się ze swoją pobożnością. Twierdziła, że religia jest niezbędna prostemu ludowi.

Zadbała, aby za jej panowania nie było skandali ani afer personalnych. Dymisjonowani dygnitarze odchodzili sowiec wynagradzani, nie mieli powodów do skarg. Jej faworyci zostali postawieni w rządzie funkcjonariuszy niezbędnych dla dobra kraju.

Przyjmowała w Rosji cesarza Austrii, znakomitych zachodnich dyplomatów, nigdy zaś sama nie wyjechała za granicę. Pracowicie za to podróżowała po Imperium, zyskując miano „Matuszki”, dobrej władczyni dla swych poddanych. Tolerowała krytykę w pewnych (z latami coraz węższych) granicach. Miała coraz mocniejsze przekonanie o swojej wyjątkowości, nieomal o swym geniuszu. Stąd rosnące z latami rzesze pochlebców. Można mieć wrażenie, że Katarzyna na pochlebstwa bardzo lubiła, ale nie traciła zdrowego rozsądku.

W literaturze bulwarowej więcej miejsca poświęca się jej romansom niż działaniom, państwowotwórczym. Pozbawione ciepła dzieciństwo i nieszczęśliwe małżeństwo sprawiły, że ciągle szukała miłości. Chciała kochać i być kochaną. Nie umiała jedynie pokochać swojego syna. Ich wzajemna nienawiść narastała z każdym rokiem.

Przy ocenie jej panowania mnożą się skrajne oceny. Jedni historycy ukazują piękną fasadę, dekoracyjność cesarstwa, inni zaś nędzę prostego ludu, zwłaszcza zupełnie uprzedmiotowionego chłopstwa. Wskazuje się na ciemnotę ludu i uprzywilejowanie klasy prózniczej, czyli szlachty. Wytworzone rezydencje nie przysłoniły nędzy chłopskich chat. Paradoksalnie troska o stworzenie liberalnego, sprawiedliwego państwa prawa zaczęła się od uzurpatorskiego łamania prawa, a zakończyła rosnącym pogłębieniem niesprawiedliwości. Tolerancyjna Katarzyna nie potrafiła zmierzyć

się z narastającym problemem mniejszości żydowskiej, z którym zetknęła się po rozbiorze Polski. Zdobyła się jedynie na wytyczenie „granic osiedlenia” i innych ograniczeń, co w przyszłości zaowocowało licznymi pogromami.

Starając się być najbardziej rosyjską władczynią, realizowała plan Piotra I, oparty o związki z cywilizacją i wpływami niemieckimi. Mówi się, że stworzyła swoisty bazar z niemieckimi narzeczonymi dla swego syna i wnuków. Tradycja ta trwała do końca dynastii Romanowów.

Nawet nagła śmierć Katarzyny, niezmiernie dbającej o majestat swej władzy – jawi się jako groteskowy paradoks. Caryca umiera w toalecie, na sedesie przerobionym z tronu Stanisława Augusta Poniatowskiego. Fakt, że nie zwalniała służby, nawet gdy była z niej niezadowolona, skończył się tym, że starzy służący nie byli w stanie przenieść jej korpułentnego ciała na łóżko i agonia przebiegała na rozesłanym na podłodze materacu. Zmarła nie odzyskawszy przytomności w kilka godzin po ataku apopleksji.

Pogrzeb carycy także miał symboliczny wydźwięk.

Syn, kiedy przybył do pałacu, nawet nie zatrzymał się przy konającej matce. Od ostatniego jej faworyta, P. Zubowa zażądał wydania wszystkich jej dokumentów. Paweł nienawidził swojej matki, która uporzeczywie szkalowała go w swoich pamiętnikach i listach, by usprawiedliwić planowane odsunięcie go od tronu.

W zemście na takie traktowanie Paweł urządził matce swoiste „wesele pogrzebowe”. Kazał wydobyć zwłoki ojca, pochowane z rozkazu Katarzyny w Aleksandro-Newskiej Ławrze, ozdobić trumnę carskimi regaliaми, ustawić na katafalku obok trumny carycy i na szarfię umieścić napis: „Rozdzieleni za

życia, złączeni w wiecznym spoczynku”. Następnie obie trumny zostały pochowane razem w panteonie carów rosyjskich w soborze Piotra i Pawła.

Trzech jeszcze żyjących zabójców jego ojca, wiekowych starców, zmusił do udziału w ceremonii pogrzebowej. Książęta Boriatyński i Passek musieli podtrzymywać frędzle całunu, a trzeci – Aleksy Orłow musiał przed trumną nieść strąconą koronę ojca, który został symbolicznie ukoronowany przez syna po prawie trzydziestu pięciu latach.

Natomiast zwłoki G. Potiomkina, pogrzebane w cerkwi św. Katarzyny w Chersoniu kazał wyrzucić z mauzoleum. Następnie rozkazał rozsypać na wietrze „przeklęte prochy” domniemanego, potajemnego małżonka matki.

Ostatni faworyt Katarzyny, Płaton Zubow okaże się jednym z zbójców jej syna.

Przez krótki czas panowania Paweł skrupulatnie niszczył pamięć o Katarzynie. Wszystko, co robiła matka, czynił dokładnie odwrotnie. Petersburg został zamieniony w pruskie koszary.

Katarzyna, przeżyła 68 lat, w tym 35 na tronie, bardzo chciała być nie tylko szanowana, ale i lubiana. Jej syn zaś często cytował Kaligulę: „niech mnie nienawidzą, byle się mnie bali”.

W latach 1771-1794 pracowała nad pamiętnikami, wielokrotnie je przeredagowywała, miał to być jej swoisty pomnik, pisała je w języku francuskim. Była przekonana, że będzie żyć co najmniej 80 lat i zdąży dokonać swoistego resume. Miała świadomość wielu mitów na swój temat i chciała wnukom stworzyć swój prawdziwy portret. Niestety, stan zdrowia w ostatnim roku nie pozwalał na ten nadmiar obowiązków, dlatego pamiętniki obejmują tylko lata 1744 – 1759, czyli okres gdy była wielką księżną.



Kiedy Paweł I znalazł rękopis, kazał opieczetować, później pozwolił przyjacielowi zrobić odpis. Wkrótce po salonach Petersburga zaczęły krążyć odręczne kopie odpisu, z jedną z nich zapoznał się A.Puszkina. W połowie XIX wieku wielki wielbiciel Katarzyny II P.Bartieniew przewiózł je do Londynu i A.Hercen w 1859 r. opublikował część autobiograficzną. Sukces publikacji był oszałamiający. Dzieła Katarzyny obejmujące zarówno jej twórczość literacką, publicystyczną i polityczną zaczęto publikować w drugiej połowie XIX wieku, ale bez zapisków autobiograficznych. Dopiero w 1907 na podstawie londyńskiego wydania wyszły „Zapiski imperatorowej Katarzyny II”. Pamiętników Katarzyny nie zdecydował się opublikować żaden z jej potomków. Władcy bolszewicy publikując ich wybrane fragmenty, stworzyli karykaturę wielkiej carycy. Żadnych innych jej dzieł nie opublikowali. Zapiski autobiograficzne wyszły dopiero w latach 1988-1989. Polskie wydanie autobiografii: „Pamiętniki cesarzowej Katarzyny przez nią samą spisane” w przekładzie E. Siemaszkowej ukazało się w 1980 roku nakładem krakowskiego Wydawnictwa Literackiego, w 1990 r. wznowiło wydawnictwo Iskry. □

MICHAŁ CHOROŚNICKI

## Wizy do Ameryki – mity i rzeczywistość

Wizy wjazdowe są stare jak nasza cywilizacja. Podobno udzielano ich już w Persji ok. 450 r. p.n.e. Jest to prawdopodobnie najstarsza udokumentowana wzmianka o instytucji wizy wjazdowej, czyli zgody na wjazd do kraju obcego i pobytu w nim.

Do tego doszedł z czasem nowy dokument nazywany paszportem. Termin pochodzi z francuskiego „passe port” i oznacza przejście przez port (w domyśle wjazd).

Wydawanie listów podróźnych zwanych właśnie paszportami wprowadził Król-Słońce Ludwik XIV w 18 wieku. Korzyści były podwójne bo kontrolowano tych którzy wyjeżdżali i wjeżdżali, a poza tym pobierano stosowne opłaty wzbogacając skarb.

Zdziwienie budzi fakt, że system wizowy uległ ograniczeniu w XIX wieku w dobie rozwoju podróży kolejowych i wzrostu turystyki. Przykładowo bilet na pociąg z Londynu do Dover, przejazd parowcem przez Kanał i dalsza podróż koleją z Calais do Paryża (lub odwrotnie) była dostępna finansowo dla klasy średniej, która z tych możliwości korzystała. Wizy uznano za utrudnienie i przeżytek.

Wybuch I wojny światowej i powojenna wędrówka ludów w Europie spowodowały powrót rozbudowanego systemu paszportowo-wizowego ze wszystkimi tego konsekwencjami, trwającymi do końca XX wieku, a gdzieś tam do dzisiaj.

Oczywiści często zdarzały się wyjątki. Henryk Sienkiewicz, nasz noblista, w 1916 roku już w czasie wojny jako ówczesny poddany rosyjski wyjechał spokojnie do neutralnej Szwajcarii tranzytem przez Niemcy, a więc kraj wrogi Rosji. Lenin i jego towarzysze przejechali w 1917 roku ze Szwajcarii do Rosji tranzytem

przez Niemcy, ale wiadomo, że pod nadzorem wywiadu niemieckiego, który trafnie zaplanował dywersję w Rosji tyle, że ze skutkami, które trwały przez ponad 80 lat.

System wizowy coraz bardziej doskonalono i coraz więcej na nim zarabiano. Kontrole były już szczegółowe, a sankcje za brak wizy kończyły się zwykle odmową wjazdu do danego państwa, a nawet aresztem.

Ambasady i konsulaty na całym świecie miały rozbudowany system sankcji wizowych. Rzadko zdarzały się kraje, które udzielały wiz w miejscu przekroczenia granicy, w porcie lub na lotnisku, co dzisiaj jest właściwie normą.

Amatorzy podróżowania byli poddawani wyrafinowanej choć prostej procedurze. Autor w latach 70-tych podróżował często do Wielkiej Brytanii. Dla młodego pokolenia przypominam, że najpierw trzeba było zdobyć zaproszenie lub promesę walutową, uzyskać paszport na milicji, zarejestrować się w Konsulacie Brytyjskim i czekać. Po informacji, że wiza jest przyznana trzeba było jechać do Warszawy do Sekcji Wizowej Ambasady Brytyjskiej przy Al. Róż. Tam składało się paszport z promesą (informacją o przyznaniu wizy) i około południa opieczetowany wizą paszport się odbierało. Ciekawym szczegółem były informacje w poczekalni o osobliwej treści jak np. „podanie adresu pobytu w Zjednoczonym Królestwie na adres Ambasady PRL w Londynie jest niewystarczające”. Ale trzeba było uzyskać wizy tranzytowe, bo podróż lotnicza do Anglii była niebotycznie droga więc zostawał tylko pociąg, autobus, a czasami także samochód własny lub przyjaciół. Wizy tranzytowe można było otrzymać tylko po wbiciu wizy docelowej. Trzeba więc

było jechać na ul. Katowicką na Saską Kępę do Ambasady RFN (to po roku 1970 po nawiązaniu stosunków dyplomatycznych RFN-Polska), a potem do Ambasady Holandii bo tam wize tranzytowe, w przeciwieństwie do Belgii, udzielano od ręki.

Posługując się samochodem lub taksówką, oraz będąc koniecznie w 2 osoby (rezerwacja kolejek) wszystkie wize można było otrzymać w ciągu tego samego dnia i sztuka ta wymagała sprawności, wiedzy o detalach i pomysłu.

Zdarzało się, że niektórzy wyjeżdżali bez wiz tranzytowych. Czasem się udawało, czasem wysadzano gdzieś na granicy RFN lub Belgii czy Holandii, ale nie karano. Szczęściem było jechać potem na nieważny już bilet.

Wize do USA udzielano zawsze po rozmowie z Konsulem, ale ich uzyskanie nie było aż tak trudne. Znacznie trudniej było zdobyć paszport do USA i fundusze na podróż. To i tak szybko się zwracało, bo pracę legalną lub nielegalną można było zdobyć bez wysiłku, a niebotyczny czarnorynkowy kurs dolara w Polsce, ze skromnego nawet zarobku czynił fortunę. Były i czasy kiedy „Batory”, a potem „Stefan Batory” zawijał do Montrealu, a werbownicy z fabryk zbrojeniowych w USA pracujących na 3 zmiany w czasach wojny wietnamskiej łowili pracowników tuż po zejściu ze statku. Ale to zamierzchła przeszłość.

Wiedza o systemie paszportowo-wizowym nie jest i nie była mocną stroną naszych rodaków. Już w latach 90-tych widziałem i słyszałem jak pewna Pani wywołała kosmiczną awanturę w naszym Konsulacie w Nowym Jorku wyzywając personel od komunistów i łajdaków. Chodziło o to, że syn owej damy nie mógł wjechać do USA bo nie dostał wize amerykańskiej, choć oczywiście miał paszport. Przy okazji wyszło na jaw, że owa Pani przebywała w Stanach nielegalnie, ale odróżnienie paszportu od wize przekraczało jej możliwości intelektualne, choć było oczywiste z jakiego powodu syn nie otrzymał wize USA.

System wyłapywania tzw. nielegalistów nie działa całkiem sprawnie, ale służby konsularne USA działały i nadal działają dość skutecznie, zwłaszcza w dobie komputeryzacji.

Naturalnie pomysłowi rodacy i ten system potrafili czasami oszukać. W latach 80-tych na Podhalu działała grupa, która za duże pieniądze gwarantowała wizę USA nawet tym, którzy mieli tam rodziny na nielegalnym pobycie.

Otóż stare, tzw. niebieskie paszporty miały dane osobowe drukowane specjalną drukarką, która drukowała dane w postaci dziurek. Spryciarze, twardym ołówkiem robili drobne dziurki i zmiany, których nie łapał system. Wystarczyło, że z Pana powiedzmy Pawelskiego robiono Pąwelskiego, a z Pani Kłapkowskiej Panią Kłapkowską – i już byli czysti. Było to ryzykowne bo polscy pogranicznicy zabierali karty wyjazdu z nazwiskiem, ale i to podrabiano, a szukanie w milionach kart było szukaniem igły w stogu siana. Oszuści wpadli, bo podobno doszło do sporów o pieniądze i to niemałe.

Niesłychane nadzieje wzbudza więc możliwość błędnie nazywana ruchem bezwizowym. Szumne zapowiedzi kandydata na prezydenta, a potem prezydenta Donalda Trumpe były obietnicami pustymi. To nie prezydent, a Kongres decyduje czy wprowadzi tzw. udogodnienia wizowe dla obywateli danego państwa. Może się tak stać, jeżeli procent odmowy nieudzielanych wiz spadnie poniżej 3% wszystkich wydanych wiz. W Polsce byłoby to łatwe do osiągnięcia, gdyby nie chciwość i naiwność. Chciwość biur pośrednictwa uzyskania wiz, które z niewielkich opłat czerpią dobre profity, a z naiwności ludzi, którzy wierzą że jakoś dostaną wizę i że system nie wykryje oszustwa w zeznaniu wizowym.

Zabawne są opowieści pracowników biur pośrednictwa, jak to przychodzi człowiek z wnioskiem o wizę do USA. Pracownik pyta o bliskich czy przebywają może w USA – owszem są, 2 braci i siostra. Jak

długo? Ok. 3 lata. A co robią – są na wycieczce! Proszę składać o wizę dla mnie, może tego nie wykryją. I tak rósł procent odmów.

Sytuacja uległa zmianie po wejściu Polski do Unii. Kurs euro jest lepszy od kursu dolara, możliwości legalnej pracy większe, no i wszystko jest w Europie.

Wiara, że do Stanów będziemy jeździć „bezwizowo” lub zgoła na dowód osobisty (!) jest doprawdy zdumiewająca. W istocie bowiem nowy system pogorszy warunki wjazdu, a wszystkie elementy pozostaną takie same. Zniknie tylko pokazana opłata za wizę, ale panem życia i śmierci będzie nadal urzędnik imigracyjny na granicy. Wiza, nawet 10-letnia gwarantuje bowiem tylko prawo pojawienia się do odprawy paszportowej. W dalszym ciągu w samolocie lub na statku wypełnić musimy dość szczegółowy formularz. W oparciu o ten właśnie formularz, czyli bez wbitej w paszport wizeny stajemy przed urzędnikiem imigracyjnym, który może nas oczywiście nie wpuścić i odesłać z powrotem. Czyni to w majestacie prawa.

Działa zresztą od pewnego czasu tzw. kontrola wstępna. Listy pasażerów są zgłaszane władzom amerykańskim PRZED odlotem, a w konsekwencji jeżeli nasze nazwisko jest trefne i znajdzie się na czarnej liście, zostaniemy odesłani zaraz po przylocie. A będzie dobrze, jeżeli w ogóle nie zostaniemy wpuszczeni do samolotu, oszczędzi to kosztów. Wygląda na to, że system ten wprowadzi w tym roku także Unia wobec obywateli USA przyjeżdżających do Europy. Poza tym z wbitą w Konsulacie wizą turystyczną urzędnik może nam zezwolić na pobyt maksymalnie 180



dniowy, bez wizeny tylko na 90 dniowy, więc będzie krócej! Wszystko zależy od urzędnika na granicy. Może udzielić wizeny pobytowej np. na 7 lub 14 dni w zależności od biletu powrotnego, ale może też udzielić pobytu najdłuższego prawem dozwolonego. Słabym punktem systemu wizowego po wpuszczeniu cudzoziemca jest jego kontrola. Nie da się kontrolować wszystkiego i wszystkich, dotyczy to także USA. Mohamed

Atta i jego kompani, którzy przeprowadzili ataki 11 września 2001 roku wjechali do USA na wizeny studenckie. Rzeczywiście, uczyli się w szkołach pilotażu, tylko nikt nie połączył niepokojących informacji, które napływały w spójną całość. Połączenie faktów zapewne zapobiegłoby zamachom.

Tak to wyglądać będzie w praktyce i na nic nie zdadzą się zakłęcia o sojuszach, współpracy i wspólnej historii.

A przestarzała ustawa o obywatelstwie polskim z 1962 roku, setki razy już nowelizowana, dalej obowiązuje. To powoduje, że Polak z paszportem polskim i amerykańskim przylatując ze Stanów do Polski pokazuje polski paszport i może się czuć jak u siebie w domu. Ale odlatując do USA musi pokazać paszport amerykański (lub polski z wizą USA, to oczywiste).

Obywatel amerykański przy przylocie do Polski wypełnia tylko uproszczony formularz, nic nie płaci i może przebywać u nas do 90 dni, chyba, że uzyska zgodę na dłuższy pobyt.

Ta asymetria istnieje od 1990 roku, ale jest to suwerenna decyzja władz polskich będąca w istocie ukłonem w stronę „Wielkiego Brata”. Niejedynym zresztą teraz i w przeszłości. □

## Obchody Pierwszego Maja Krakowskiej Lewicy 2019

Tradycyjnie w dniu pierwszego maja pod pomnikiem Czynu Rewolucyjnego przy Alei Ignacego Daszyńskiego w Krakowie Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych zorganizowało spotkanie, w którym wzięli udział przedstawiciele organizacji takich jak: Towarzystwo Kultury Świeckiej, Stowarzyszenie Kuźnica, Partia Razem, Sojusz Lewicy Demokratycznej, Wiosna, Unia Pracy, Centrum Daszyńskiego oraz liczni krakowianie – sympatycy lewicy.

Spotkanie otworzył przewodniczący OPZZ Województwa Małopolskiego Józef Król, który nawiązał do historycznej postaci Ignacego Daszyńskiego, ale wspominał i o nadchodzących wyborach do europarlamentu, oraz zachęcił zebranych do licznego udziału w nich, podkreślając wagę tego głosowania.

Zabrali głos również przedstawiciele w/w organizacji. Między innymi sekretarz Rady Krakowskiej SLD Sławomir Brodziński, który powiedział, że w tym dniu manifestujący od prawie stu lat upominają się o sprawiedliwy podział dóbr, o równe prawa dla wszystkich, o zapewnienie podstawowych warunków bytowych, oraz o demokratyczne urządzenie państwa i społeczeństwa.

Walka o te podstawowe zasady oraz wartości przybierała na przestrzeni lat różne

formy, ale nigdy nie straciła na aktualności i również dzisiaj do podstawowych zadań lewicy należy działanie na rzecz obrony podstawowych wartości zawartych w pojęciu sprawiedliwości społecznej, rozumianej jako system zarządzania opartego na społecznej gospodarce rynkowej, w której każdy ma równe prawa, a państwo chroni słabszych oraz mniej zaradnych przed różnego rodzaju wyzyskiem opartym na prymitywnej chciwości. Określenie zasad sprawiedliwości społecznej powinno być podstawowym zadaniem ideologicznym lewicowych partii. Lewica musi w sposób prosty, jasny i zrozumiały przekazywać swoje cele i zasady działania.

Krakowski oraz małopolski Sojusz Lewicy Demokratycznej opowiada się za pełną współpracą wszystkich lewicowych środowisk i deklaruje to zgodnie z zasadą, że nie ma wroga na lewicy. Porozumienie na lewicy jest pożądane szczególnie wobec konieczności odsunięcia Prawa i Sprawiedliwości od władzy. W interesie Polski jest jak najszybsze odesłanie PiS-u do opozycji, ponieważ jego arogancja, tupet oraz lekceważenie organów państwa i dążenie do autorytarnych rządów stanowią zagrożenie dla Polski oraz Unii Europejskiej.

Po wystąpieniach zostały złożone kwiaty na obelisku. □



# Tradycja i przyszłość

Tradycyjnie spotkaliśmy się pod pomnikiem Czynu Rewolucyjnego aby oddać cześć ludziom pracy walczących o prawa do godnego życia. Obchody międzynarodowego

Święta Pracy - 1 Maja to święto tych, którzy żyją z pracy rąk oraz własnego intelektu, często w obronie prawa do godnego życia ponosili wielkie ofiary. W tym Dniu manifestujący od prawie stu trzydziestu lat upominają się o sprawiedliwy podział dóbr, o równe prawa dla wszystkich, o zapewnienie podstawowych warunków bytowych oraz o demokratyczne rządzenie państwem i społeczeństwem.

Walka o te podstawowe zasady oraz wartości przybierała na przestrzeni lat różne formy, ale nigdy nie straciła na aktualności i również dzisiaj do podstawowych zadań lewicy należy działanie na rzecz obrony podstawowych wartości zawierających się w pojęciu sprawiedliwości społecznej.

Sprawiedliwości społecznej rozumianej jako system zarządzania opartego na społecznej gospodarce rynkowej, w której każdy ma równe prawa, a państwo chroni słabszych oraz mniej zaradnych przed różnego rodzaju wyzyskiem opartym na prymitywnej chciwości. Określenie zasad sprawiedliwości społecznej powinno być podstawowym zadaniem lewicowych partii. Lewica musi w sposób prosty, jasny i zrozumiały przekazywać swoje cele i zasady działania.

Krakowski oraz małopolski Sojusz Lewicy Demokratycznej opowiada się za pełną współpracą wszystkich lewicowych środowisk i deklaruje działanie zgodne z zasadą - nie ma wrogów na lewicy. Porozumienie na lewicy jest pożądane wobec konieczności odsunięcia Prawa i Sprawiedliwości od władzy. W interesie Polski jest jak najszybsze odesłanie PiS-u do opozycji, ponieważ jego arogancja, tupet oraz lekceważenie organów państwa i dążenie do autorytarnych rządów stanowi zagrożenie dla Polski oraz Unii Europejskiej.

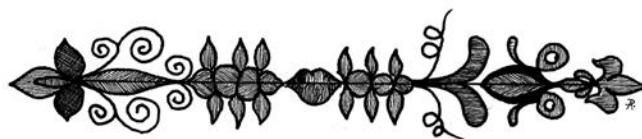
Obecnie rządzący skutecznie skompromitowali zawód polityka, ponieważ traktują władzę jako podział łupów, a nie jako obowiązek wobec społeczeństwa, są typowymi przedstawicielami partii władzy, której jedynym celem jest jej utrzymanie dla własnej korzyści.

Przed lewicą długa i wymagająca droga aby odzyskać należne społeczne poparcie.

Musimy podjąć intensywne działania w obronie demokratycznego państwa, bo zaczyna występować coraz więcej napięć i zagrożeń.

Życzymy sobie, aby następne obchody pierwszomajowego święta odbywały się pod nowymi rządami z udziałem przedstawicieli lewicy. □

Sławomir Brodziński  
Kraków 1 maja 2019 r.



# Konkurs literacki „Nie musisz pisać do szuflady”

10 czerwca 2019 roku odbył się finał VII edycji Konkursu Literackiego „Po co pisać do szuflady...” organizowanego przez Liceum Ogólnokształcące nr I im. Marii Skłodowskiej-Curie i Starostwo Powiatowe w Suchej Beskidzkiej pod patronatem Stowarzyszenia Twórczego Artystyczno-Literackiego z siedzibą w Krakowie. Przewodniczącym jury jest Stanisław Franczak, obok niego w komisji konkursowej pracują: Małgorzata Skawińska, Małgorzata Kłapyta, Magdalena Stankiewicz, Aneta Zachura.

A oto werdykt komisji konkursowej:

## **Kategoria I**

I miejsce Maciej Jurek  
II miejsce Zachariasz Zborowski  
III miejsce Patrycja Pena

## **Kategoria II**

I miejsce Karolina Malaga  
II miejsce Patrycja Kanik  
III miejsca nie przyznano  
wyróżnienie Michał Grzechyňa

## **Kategoria III**

I miejsca nie przyznano  
II miejsce Natalia Zborowska  
III miejsce Kazimierz Surzyn

W kategorii „Wszystko jest teatrem”  
wyróżnienie otrzymała Ewelina Kozina.

Nagrody laureatom i ich opiekunom wręczyli członkowie jury, dyrektor LO nr I Anna Sala oraz naczelnik wydziału promocji, funduszy i sportu suskiego starostwa Janusz Kociołek. □



## Refleksja

Nowa Huta ma 70 lat i jak na miejski organizm nie jest to powód do wielkiego świętowania. Bywają takie miasta, które mają po 100 czy 1000 lat i więcej, więc czemu warto mówić o Nowej Hucie? Warto o niej mówić bo jest to pewien fenomen we współczesnej Europie.



Siedemdziesiąt lat temu na polecenie władz Polski, która nazywała się wówczas Polska Rzeczpospolita Ludowa, rozpoczęła się budowa miasta mającego być symbolem powstającego socjalistycznego państwa. Założenia były proste, że dla robotników powstającego równoległe metalurgicznego kombinatu "Huta im. W. I. Lenina" powinno powstać miasto, które zapewni im godziwe warunki życia i wypoczynku. Na terenach podkrakowskiej wsi Mogiła i jej okolic powstało od podstaw nowe miasto. Zostało ono zaprojektowane na rzymskich wzorach, z ambicjami stworzenia wzorcowego miasta. Budynki mieszkalne zaprojektowano tak, że sąsiad nie zagląda do mieszkania sąsiada, a widok z okien ma perspektywę z zielenią w tle. Szerokie ulice, na których mimo upływu 70 lat mieści się bez problemu współczesny ruch samochodowy, tramwajowy, rowerowy i pieszy. W kwartałach mieszkalnych znajdują się przedszkola, szkoły, świetlice, place zabaw, sklepy i dużo zieleni, a ruch samochodowy jest maksymalnie ograniczony, pozwalający tylko na dojechanie do miejsc parkingowych. Nowa Huta ma dużo zieleni

i wiele miejsc, gdzie można w każdej chwili sięść i odpocząć, ponieważ utworzyły się oazy spokoju do, których nie dociera uciążliwy gwar miasta. Bardzo popularne miejsca odpoczynku i rekreacji to przestrzeń „Nad Zalewem” i rejon nadwiślańskich łąk, dochodzących prawie do Placu Centralnego. Projektanci i budowniczowie Nowej Huty mogą być dumni ze swego udanego dzieła, czego dowodzą częste odwiedziny przez zagraniczne wycieczki, ponieważ w Europie ma ona opinię wzorcowo zaprojektowanej organizacji miejskiej. Dzisiaj już jako dzielnica Krakowa stanowi atrakcję turystyczną jako uzupełnienie krakowskich zabytków. A gdyby udało się odzyskać pomnik Lenina, symbolu Nowej Huty i postawić go na Placu Centralnym im. Ronalda Regana, to mamy gwarantowaną atrakcję turystyczną oraz zabawy chichot historii.

Historia Nowej Huty to przykład jak refleksyjnie i odpowiedzialnie należy traktować dzieje państwa. Każdy okres ma wady i zalety. Zawsze trzeba ważyć dobro i zło, ponieważ bardzo rzadko można dokonywać jednoznacznej oceny.

## Komentarze

- Zmarł prof. Karol Modzelewski, przykład ideowego przedstawiciela lewicy. Jego droga życiowa to walka o zasady i pryncypia w dążeniu do wdrażania zasad demokratycznego państwa, opartego na sprawiedliwości społecznej. Całe życie utożsamiał się z lewicą. Zawsze przeciwstawiał się kłamstwu, obłudzie i różnego rodzaju cwaniactwu, bez



względu na to, jakie ponosił konsekwencje. Mimo doznanych krzywd i upokorzeń obce były mu pojęcia zemsty i rewanżyzmu. Kolejna wielka postać lewicy odeszła na karty historii.

- Na jesieni 2018 r. Związek Nauczycielstwa Polskiego wszedł w spór zbiorowy z rządem i przez wiele miesięcy dopominał się o rzeczową dyskusję nad zgłaszanymi postulatami. Wobec braku reakcji rządu Związek zapowiedział na 8 kwietnia rozpoczęcie strajku w oświacie. Protest nauczycieli poparła Solidarność oświatowa, z którą rząd zawarł odrębne porozumienie oświadczając, że spełnił zgłaszane postulaty. Spowodowało to wzburzenie nauczycieli i rozpoczęcie strajku. Przedstawiciele rządu stanęli na stanowisku, że jak ktoś chce, to niech strajkuje i całą odpowiedzialność za zaistniałą sytuację zrzucili na ZNP i prezesa Broniarza. Wobec nieprzejednanego stanowiska rządu i rozpoczynających się matur nauczyciele zawiesili strajk do końca wakacji, co rządzący buńczucznie ogłosili jako swój sukces. Kolejny przykład dobrej zmiany.

- Film “Kler” w ciągu kilku dni osiągnął rekordy oglądalności. Przedstawia on historię trzech zaprzyjaźnionych księży i na ich przykładzie ukazuje patologiczne stosunki panujące w polskiej hierarchii Kościoła Katolickiego. Film mocny i jednoznaczny w wyrazie nie jest atakiem na Kościół, lecz obrazem odzwierciedlającym patologiczne zwyczaje i zasady panujące wśród katolickiego kleru.

- Jeszcze większe wrażenie, a często wzburzenie i zaszokowanie, wywołał dokumentalny film braci Sekielskich “Tylko nie mów nikomu”, w którym ukazano liczne, udokumentowane przypadki ukrywania pedofilii w Kościele. Czas pokaże, czy te naganne przykłady ukazane w filmach pomogą Episkopatowi zmierzyć się z problemem i sprowadzić swoich kapłanów na głoszoną przez nich drogę pokory i cnoty, czy kolejny raz sprawa zostanie, potocznie mówiąc, zamieciona pod dywan.

- Z okazji święta 3 Maja przewodniczący Rady Europejskiej Donald Tusk wygłosił okolicznościowy referat na Uniwersytecie Warszawskim. Przewodnią myślą jego

wystąpienia było zakończenie wojny polsko-polskiej. Apelowal do polityków o nietraktowanie się jak wrogów lecz jak partnerów działających dla wspólnej sprawy. Postulował aby odrzucić zasadę, że zwycięzca bierze wszystko. Argumentował, że w demokracji zwycięscy i pokonani w wyniku wyborów muszą ułożyć zasady współdziałania, ponieważ są elementami tego systemu. Niestety, ten fragment wystąpienia przeszedł bez większego echa, lub została zinterpretowany jako atak na rządzących, a to głównie za sprawą mediów, które szukają sensacji dla podgrzania atmosfery.

- Duży sukces Prawa i Sprawiedliwości w wyborach do Parlamentu Europejskiego. Najwięcej głosów ze wszystkich kandydatów zdobyła była premier Beata Szydło. Kolejny raz PiS udowodnił, że bardzo sprawnie posługuje się propagandą opartą na sianiu strachu, podsycaniu nienawiści i manipulowaniu faktami. Była to kampania wyborcza prowadzona w interesie partii, bez wizji interesu państwa, w wyniku której PiS wysłał do Brukseli wielu takich, co mogą cały czas mówić, a nie mają nic do powiedzenia.

- Patrząc refleksyjnie na kampanie wyborcze ostatnich lat mamy pytania o sposób ich rozliczania przez Państwową Komisję Wyborczą. Zasadnicze: czy PKW rozlicza wszystkie poniesione koszty, czy tylko te faktury, które jej dostarczono. Gdy widzi się ilość plakatów, ulotek, banerów i zdjęć niektórych kandydatów, to rodzi się poważne podejrzenie, czy poniesione przez nich koszty zmieściły się w określonych limitach wyborczych.

- Z okazji Dnia Dziecka obradował Parlament Dzieci i Młodzieży. Wybrane fragmenty wystąpień młodych polityków mogły budzić nadzieję, że wyciągną naukę z uprawianej obecnie polityki i pójdą inną drogą. Szczególnie podniosła i wzruszająca była chwila, gdy młoda parlamentarzystka swoim wystąpieniem spowodowała powstanie chyba wszystkich młodych delegatów i zakończyła apelem cytując słowa piosenki Czesława Niemena “Dziwny jest ten Świat”, że nienawiść trzeba zniszczyć w sobie. □

Sławomir Brodziński  
Kraków, 5 czerwca 2019

PIOTR AUGUSTYNEK

## Dwa Bratanki

W roku 2018 ukazał się zbiór szesnastu szkiców profesora Krzysztofa Woźniakowskiego „W kręgu życia kulturalnego polskiego wojennego uchodźstwa na Węgrzech 1939–1945. Studia i szkice”.

Autor już nie raz zaprezentował ogrom materiału związanego z zagadnieniem polsko-węgierskich losów w latach II wojny światowej i niemieckiej okupacji. Lektura szesnastu szkiców Profesora uświadomiła mi, jak niewiele wiemy o relacjach Polski i Węgier w ekstremalnie trudnych latach 1939 – 1945.

Tak się jakoś przyjęło, że nasza wiedza o losach polskich w czasie wojny i okupacji „skierowana była” wzdłuż osi wschód – zachód. Polskie siły zbrojne na zachodzie, Bitwa o Anglię z jednej strony i tragizm łagrów, powstanie Ludowego Wojska Polskiego, odyseja Armii Andersa – to są najczęstsze stereotypy, jakimi posługujemy się myśląc o czasach jakże tragicznych i niejednoznacznych.

Niejednoznacznych, bo gdzieś właśnie „umknęła” nam skromna, lecz jakże ważna historia tego, co działo się w państwie naszych Bratanków.

Tekst Krzysztofa Woźniakowskiego swoją trzyczęściową konstrukcją przybliżyła nam sfery życia społecznego, politycznego, kultury i oświaty, w których polscy uchodźcy otrzymali realną, skuteczną pomoc od Węgrów. Dobrze jest przypomnieć, że władze węgierskie pomagały Polakom narażając się na wielkie kłopoty ze strony III Rzeszy, bowiem relacje obu państw były bardzo

skomplikowane – już choćby ze względu na swoistą wasalizację Węgier.

Węgrzy wiele ryzykowali, a jednak ofiarnie pomagali (zarówno oficjalne władze, jak i organizacje i osoby prywatne) stworzyć polskim uchodźcom optymalne warunki działalności na rozlicznych polach: od badań naukowych poprzez twórczość wydawniczą, artystyczną, aż po sieć placówek oświatowych. Respekt budzą wysiłki zmierzające ku zapewnieniu wychowania i kształcenia najmłodszych z polskich uchodźców.

Opowieść Krzysztofa Woźniakowskiego odsłania kulisy (oczywiście nie wszystkie, choćby z powodu niekompletności źródeł) tych wszystkich wydarzeń, które (przynajmniej na jakiś czas) pozwoliły ocalić istotne wartości w czasach strachu i pogardy.

Nasuwa się tutaj pewna (z konieczności uproszczona)refleksja. Otóż słowo „Węgry” w kontekście II wojny światowej i okupacji kojarzy się nam (zresztą niewielu) ze zjawiskiem kurierów tatrzańskich, akcji przerzutowych, z ofiarami represji itp. Kurierzy tatrzańscy to przecież osobny rozdział w polskiej historii wojny i okupacji. A przecież to zjawisko łączy się z tym, czym mogli nam pomóc Węgrzy, a także inni zaangażowani w tę pomoc. Dobrze jest poznać dogłębnie historię polsko-węgierską. „Studia i szkice” prof. Krzysztofa Woźniakowskiego znakomicie nam to ułatwiają.

Krzysztof Woźniakowski: *W kręgu życia kulturalnego polskiego wojennego uchodźstwa na Węgrzech 1939 – 1945. Studia i szkice*, Wydawnictwo i Drukarnia Towarzystwa Słowaków w Polsce, Kraków 2018 □

**UWAGA ! DEBIUT LITERACKI**

Poniżej prezentujemy interesujące opowiadanie. Jego autorem jest JĘDRZEJ SZLACHETKA ur. w 1985 r. Ukończył studia na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Oprócz filozofii pasjonują go prawa zwierząt i ... rekonstrukcja średniowiecznych sztuk walki na długie miecze.

Życzymy powodzenia także w walce z materią tekstu literackiego.

Redakcja

**JĘDRZEJ SZLACHETKA****Obserwator**

Obserwator siedział i patrzył na rozciągającą się przed nim pustkę. Chłonał – bo taki był jego obowiązek – wszystkimi zmysłami najdrobniejszy szczegół tego świata. Westchnął, myśląc o tym, że teraz, kiedy ludzi już nie ma, spędzi tu bardzo dużo czasu.

Był niski, jak na ludzkie standardy – zwykłemu człowiekowi sięgałby najwyżej do łokcia – miał okrągłą, trochę pucułowatą twarz o szerokich ustach, dużych niebieskich oczach i wydatnym nosie, okoloną grzywą kędzierzawych blond włosów. Ubrany był pstrokato, w czerwoną koszulę, pomarańczowe spodnie i brązowe buty poniżej kostki. Generalnie sprawiał wrażenie kogoś, kto nie zwraca uwagi na to, jak ludzie go postrzegają. Miał na imię Bertrand.

Było mu bardzo nudno i dlatego ucieścił się, gdy w oddali dojrzał, że coś zmierza w jego kierunku. Zaniedbał trochę swoje obowiązki i skupił całą uwagę na nowym obiekcie. Najwyraźniej był to człowiek na koniu. Im bardziej postać się zbliżała, tym więcej dostrzegał – najpierw to, że ubrana jest w czarną kurtkę, potem, że na plecach wisi jakaś broń – karabin, lub strzelba, a na końcu, że to starszy mężczyzna.

Dopiero, gdy jeździec znalazł się kilkadziesiąt metrów od Obserwatora, ten mógł zobaczyć dokładnie jego twarz – pomarszczoną, surową, o orlim nosie i bujnych wąsach. Malował się na niej wyraz z troskania, prawie smutku.

– Hej! – Bertrand pomachał radośnie do przybysza, choć nie powinien tego robić. Nie powinien w żaden sposób ingerować w sprawy tego świata, ale żaden z aniołów, ani tym bardziej Bóg raczej nie będzie zaglądał w te okolice. Poza tym, do jasnej cholery, ma tu siedzieć nie wiadomo jak długo, więc odrobina rozrywki w postaci rozmowy chyba nie będzie wielkim grzechem, nie?

– Witaj – powiedział łagodnie starzec nieco zdziwiony. – Nie spodziewałem się nikogo spotkać. Nie tutaj.

– No cóż, ja *muszę* tu siedzieć – powiedział Obserwator i uśmiechnął się trochę głupkowato.

– A co tutaj robisz?

– Ach, no siedzę i... obserwuję – odrzekł karzeł, machając nogami, bo siedząc na kamieniu nie sięgał nimi ziemi.

– Ale *co* obserwujesz?

– No wiesz – wszystko.

– Wszystko? Nie można obserwować *wszystkiego*!

– Można. A ja nawet powinienem. To znaczy, wszystko w zasięgu wzroku.

– Aha... Cóż, nic nie rozumiem, ale to i tak bardzo ciekawe. A dlaczego to robisz?

– Bo muszę. Takie mam zadanie.

– A kto ci je wyznaczył?

– Bóg.

– Bóg? – powiedział jeździec i zamilkł, wpatrując się gdzieś w dal. Tkwił tak dłuższą chwilę, a Obserwator bał się mu przerywać. Wreszcie jednak starzec się odezwał.

– A długo masz to robić? Obserwować?

– Aż nie przyjdą tu jacyś ludzie. Bo widzisz, chodzi o to, że jeżeli nie będę tego robił, ta część świata przestanie istnieć.

Znów zapadło milczenie. Pustka, która ich otaczała zdawała się mówić, że cały kosmos już dawno dobiegł swego kresu, a wszystko, co widzą, to tylko dekoracja, którą ktoś zapomniał ściągnąć.

Jeździec kilka razy wciągnął powietrze, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie mógł. Wreszcie jednak zebrał się w sobie i rzekł smutno:

– Ale ludzie nie przyjdą, wiesz o tym? Pochłonęła ich wojna, już ich nie ma. Sami się zniszczyli, zresztą nie tylko siebie...

– Wiem, wiem, ale to nic nie zmienia. Tym bardziej muszę pilnować, żeby wszystko było na swoim miejscu.

– Dobrze. W takim razie ruszam dalej, nie będę ci już przeszkadzał w twoim zadaniu.

– Poczekaj! – obserwator zerwał się na równe nogi. – Powiedz mi, dokąd jedziesz?

– Nie mogę ci powiedzieć.

– A możesz... zabrać mnie ze sobą? Inaczej będę tu siedział całkiem samotnie.

– A czy nie *to* właśnie masz robić?

– Nie... To znaczy tak, mam obserwować, ale nikt nie powiedział, że mam robić to konkretnie *tutaj*...

– Jak to?

– No dobra, w zasadzie to mam siedzieć dokładnie w tym miejscu. Ale myśleć po prostu, że to wszystko nie ma znaczenia – przecież wszystko tu jest takie samo. Weź mnie ze sobą, proszę...

– Jeździec podrapał się po nosie w zamyśleniu.

– Jesteś pewien? – zapytał.

– Tak. Proszę – powtórzył karzeł.

– Dobrze. – zgodził się tamten. – Jak masz na imię?

– Bertrand.

– Hm, miło cię poznać. Ja nazywam się Karl. Zatem wskakuj – podał nowemu towarzyszowi rękę i pomógł mu wgramolić się na konia. Potem cmoknął i wierzchowiec ruszył.

Przez pierwszy dzień w ogóle nie rozmawiali, Obserwator starał się więc jak najdokładniej oglądać wszystko, co mijali po drodze. Świat był cały czas prawie taki sam, a jednak teraz Bertrand zaczynał rozumieć, że każdy przydrożny kamień, każdy zasuszony krzak i każdy kikut drzewa był czymś nowym. I kiedy doświadczał, bardzo delikatnych, ale jednak, zmian, kiedy zaczął mieć poczucie upływającego czasu, doszedł do wniosku, że w ogóle nie wie, co się działo, zanim zauważył jeźdźca na drodze. Nie tyle nie pamiętał, co miał świadomość, że nie było nic. Jakby on sam w pewnej chwili powstał prosto z niebytu, mając w głowie przekonanie o konieczności wykonania zadania. Z niejakim niepokojem odkrywał też, że wie inne rzeczy, o których wołał na razie nie myśleć, ale nie mógł sobie przypomnieć, skąd się ta wiedza wzięła.

Kiedy wieczorem kładli się do snu przy ognisku, zapytał Karla, czy wie, co się działo wcześniej.

– Nie całkiem – odpowiedział tamten. – Ja sam pamiętam tylko wojnę. Nie wiem, dlaczego ludzie ją wywołali, ani o co walczyli. Wiem tylko, że użyli bomb, żeby się wzajemnie mordować. I robili to bardzo skutecznie.

– A czy myślisz, że jeszcze są jacyś ludzie? Przecież świat był stworzony dla nich. Bez ludzi to wszystko nie ma sensu. To jak film, którego nikt nie ogląda – i chociaż Obserwator nie bardzo wiedział, co znaczy słowo „film”, to czuł, że jego użycie jest tutaj na miejscu. Nie rozumiał też, dlaczego stanęło mu przed oczami drzewo, które przewraca się w lesie, choć nikt tego nie słyszy. Pomyślał też o lustrach, które na darmo, dla nikogo, odbijają w swej powierzchni świat, oraz o innych Obserwatorach – bo wiedział, że są tacy – którzy bez sensu obserwują rzeczy, których żaden człowiek już nie zobaczy.

– Nie wiem czy są – odpowiedział mu po namyśle towarzysz. – Ale chyba tak. Gdyby nie było, świat *już* przestałby istnieć.

– Chyba trochę przestał. Może masz rację, że są jeszcze gdzieś jacyś ludzie, ale bardzo daleko. Tutaj – karzeł siadł na posłaniu i rozglądnął się po okolicy – jakby wszystko wyblakło.

Starzec już nic na to nie odpowiedział i obaj poszli spać.

Następnego dnia podczas wędrówki byli trochę weselsi. Obserwatorowi wydawało się też, że zauważa więcej. Zobaczył teraz dużego ptaka wysoko nad głową, a w oddali, prawie na horyzoncie, jakieś wzgórze.

Gdy tak kołysali się na grzbiecie konia, Karl nagle zapytał:

– Opowiedz mi o swoim zadaniu. Po co musisz obserwować?

– Już ci mówiłem – żeby świat nie przestał istnieć.

– Ale dlaczego miałby przestać?

– Bo może istnieć tylko wtedy, gdy jest obserwowany. Kiedy nikt go nie doświadcza zmysłami, po prostu nie jest potrzebny.

– Jak to?

– No tak. Patrz – wskazał jakiś kawałek skały. – Po co na przykład ten kamień, jeżeli nikt na niego nie patrzy, nikt się o niego nie potyka, ani nim w coś nie rzuca? On wtedy, hm... Przystaje być tym *konkretnym* kamieniem, a staje się kamieniem w ogóle. Tak jakby... tracił swoją jednostkowość. I on sam w pewnym sensie znika.

– I to ty musisz go *obserwować*, kiedy nie interesuje się nim żaden człowiek, żeby nie zniknął?

– Tak. Mam utrzymywać spójność świata. Inaczej nie byłoby gwarancji, że człowiek patrząc drugi raz, patrzy na ten sam kamień.

– Czyli jednak powinieneś siedzieć w jednym miejscu? – zapytał Karl nieco złośliwie.

– Nooo tak – speszył się Obserwator – ale myślę, że akurat tamto pustkowie było takie samo, jak każde inne i nie ma znaczenia, na które patrzę.

– No dobrze już dobrze... – zaśmiał się jeździec.

Trochę, żeby zmienić temat, a trochę, żeby zaimponować nowemu towarzyszowi, Bertrand zaczął opowiadać jedną z anegdot, które pamiętał. Dotyczyła tego, jak powstała fizyka kwantowa. Otóż Bóg, wbrew powszechnemu mniemaniu, nie od razu stworzył świat takim, jak jest teraz. Wręcz przeciwnie – nieustannie go stwarzał i stwarza, w miarę tego, jak ludzie go poznają. Najpierw powstały więc podstawowe prawa fizyki, często naiwne, oraz najbliższe człowiekowi części kosmosu. Ale z biegiem poznania ludzkiego kosmos

stawał się coraz bardziej rozległy, prawa fizyki, chemii, czy biologii coraz bardziej skomplikowane, a cząsteczki coraz mniejsze. Ale mało tego jeszcze. Świat nie tylko stawał się w miarę odkrywania, ale też stawał się *takim*, jakim go człowiek odkrywał. Była w tym pewna sprzeczność, dziwne sprzężenie zwrotne, że ludziom się wydawało, że odkrywają wszystko takim, jakim jest, a tak naprawdę, to wszystko stawało się takim, jakim się ludziom wydawało. Prowadziło to do śmiesznych komplikacji, bo Ziemia na początku musiała być płaska i znajdować się w centrum Wszechświata (bardzo małego zresztą), a świat działać na bardzo dziwnych i prymitywnych zasadach. Nieraz też Boga mierziło to, że ludzie czasem coś wymyślali, potem rezygnowali z tego, a potem znów się za to brali – tak na przykład było z atomami.

Ale ważne, że w końcu Stwórca miał dość tych figli i postanowił dać ludziom popalić. I to na wszystkich frontach. Najpierw zrobił więc tak, że światłu określił stałą prędkość. – mówiąc to Obserwator podniósł palec, jakby to on sam kogoś pouczał. – Długo się ludzie nad tym głowili. Potem sprawił, że Wszechświat stał się skończony. To znów zbiło to ich z pantafyku. A kiedy już myśleli, że wszystko zebrali w spójną całość, podrzucił im jeszcze Wielki Wybuch. Ale najlepsze zostawił na koniec. Bo dopiero w mikroskali spletał im największego figla. Do oddziaływań tych najmniejszych cząsteczek wprowadził prawdopodobieństwo, tak, że nijak nie dało się dokładnie przewidzieć ich zachowania. I zburzył im całą fizykę, bo wszelkie prawa deterministyczne i wyobrażenie o świecie mogli sobie teraz wyrzucić do kosza i szukać od nowa.

– Serio? Naprawdę tak zrobił? – śmiał się tubalnie Karl.

Rozmowy ciągnęły się do wieczora. Kiedy zatrzymali się na nocleg wszystkie tematy były wyczerpane i kładli się w milczeniu.

Jednak Obserwator nie mógł spać, bo rozważał wszystko, o czym rozmawiali tego dnia. Zaczął się też zastanawiać nad tym, co niesie przyszłość. Uświadomił sobie, że nie wie, dokąd podąży jeździec. Do tej pory nie miało to znaczenia, ale nagle ta sprawa zrobiła się bardzo istotna, bo rozumiał, że przyszłość ich obu jest w jakiś sposób związana. Zapamiętał, że powinien zapytać o to następnego dnia.

Zrobił to z samego rana, kiedy dopiero się zbierali. Jego towarzysz nie kwapił się z odpowiedzią, choć Obserwator nie raz starał się go ciągnąć za język. Zdawało się, że starzec spochmurniał, a cała wesołość poprzedniego dnia z niego uleciała.

Zanim wsiedli na konia stanął jednak przed karłem i z poważną miną zapytał:

– Nie domyśliłeś się jeszcze, kim jestem?

W blasku wschodzącego słońca wydał się nagle wielki, ponury i straszny.

– Wiem – odpowiedział tamten. – Wiem, kim jesteś, ale nie potrafię tego powiedzieć. I wiem też, dokąd i po co zmierzasz, chociaż wolałbym tego nie wiedzieć.

Nagle wszystkie te myśli, których Obserwator się bał i o których wołał zapomnieć stanęły przed jego świadomością. Nie mógł się już przed nimi bronić, ale bał się je wypowiedzieć.

Zrobił to za niego jeździec, który teraz mówił jakby głosem z innego świata:

– Jestem Wojną. Przyszedłem na ten świat, bo przywołali mnie ludzie. Nie wiem dlaczego, bo mnie to nie obchodzi. Wiem tylko, że w ich imieniu dokonałem straszego zniszczenia. Zabiłem

ich wszystkich, zgodnie z ich życzeniem. A jeżeli nie wszystkich, to na pewno zgruchotałem świat, w którym żyli. I nie wiem, czy się z tego podniosą – to też nie jest moja sprawa. A teraz idę spotkać się ze swoimi braćmi – Głodem, Śmiercią i Zarazą. Ty pójdziesz ze mną, bo jeden z nich ma ci do powiedzenia coś jeszcze gorszego, od tego, co usłyszałeś ode mnie.

Na te słowa Obserwator zapłakał, ale nie protestował, gdy Wojna wsadził go na konia. Jechali cały dzień, nie zatrzymując się i nic nie mówiąc. A karzeł nie widział już niczego, oprócz czerni i pustki pod powiekami.

Na miejsce dojechali późnym wieczorem. Na skrzyżowaniu dróg, u stóp wielkiego wzgórza czekali na nich pozostali bracia. Głód wyglądał jak człowiek o głowie sępa. Bertrand pomyślał sobie, że jego wielkie przenikliwe oczy były jedynymi, które patrzyły na śmierć wielu dzieci i dorosłych, która nikogo innego nie interesowała. Zaraza na pierwszy rzut oka był normalnym człowiekiem w garniturze i okularach przeciwsłonecznych – jednak po dokładniejszym przyglądnięciu się można było zauważyć, że to tylko parawan, za którym ukrywa wyniszczającą chorobę. Zaś Śmierć wyglądał zwyczajnie, wręcz banalnie – był kościotrupem ubranym w czarną szatę, z kosą w ręku. Jednak karzeł domyślił się, dlaczego tak jest: dla ludzi śmierć stała się tylko mitem, czymś, co dzieje się w szpitalach, lub na

wojnach, daleko od nich, a nie w ich codzienności.

Obaj wędrowcy zsiadli z konia i Wojna zaprowadził Obserwatora przed oblicze czwartego z braci.

– Jak obiecałem, mój brat ma ci coś do powiedzenia – rzekł.

Śmierć chwilę milczał, a potem się odezwał. Głos miał bardzo nieprzyjemny, skrzekliwy i zgrzytliwy jednocześnie.

– Prawie zawsze ze swymi braćmi działamy razem. Ale wiedz, że to człowiek nas przywołuje na świat i człowiek nami rządzi. I tym razem nasz pan wyznaczył mi samodzielne zadanie. Odebranie tylko jednego jedynego życia, ale za to jakże ważnego. Wiesz jakiego?

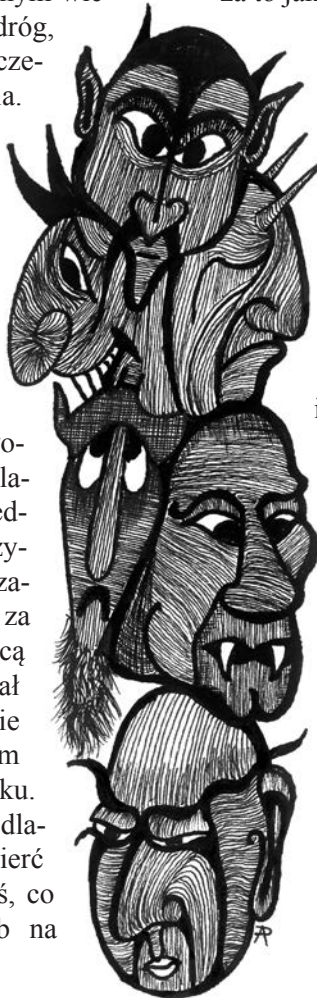
Obserwator wiedział, ale nie śmiał odpowiedzieć.

– Wiesz dobrze. To życie Boga, którego ludzie kazali mi uśmiercić. Bo On stworzył świat, by był dla człowieka. A skoro ten już nie chciał w nim Stwórcy, On musiał odejść. Musiał umrzeć, bo tego domagali się ludzie. To było ostatnie i najgorsze żniwo, jakie zebrała ta wojna.

– Czy... – zająknął się karzeł. – Czy świat teraz przestanie istnieć?

– Nie wiem. Ale umiera nie tylko Bóg, ale też pamięć o Nim. Pozostaje tylko Jego pusty tron, którego pewnie niedługo już też nie będzie.

– Czy to możliwe, żeby Bóg przestał istnieć? Przecież to On stworzył wszystko.



– One jest wszechmogący. Dla Niego wszystko jest możliwe, nawet nieistnienie.

Na tym skończyła się rozmowa. Obserwator pożegnał się z Wojną i bracia rozjechali się w różne strony. Siadł samotnie u podnóża wzgórza, i zaczął się zastanawiać, po co w ogóle wybrał się w tę podróż. O ileż prościej byłoby siedzieć na miejscu i spokojnie spełniać swoje obowiązki. Nie zaprzętać sobie głowy niepotrzebnymi zmartwieniami.

Nagle w jego głowie zaświtała myśl. Spojrzał na wzgórze i uświadomił sobie, że dobrze je zna. Wiedział gdzie jest, ale przede wszystkim wiedział, co należy zrobić: że musi dojść na szczyt. Ruszył więc w drogę.

Pagórek był łagodny, ale bardzo wysoki. Obserwatorowi wydawało się, że wspina się całymi godzinami, albo nawet dniami. Wędrówka była męcząca i gdy doszedł na górę, był już u kresu sił.

Szczyt był zupełnie łysy. Stał na nim tylko jeden przedmiot – stary drewniany tron, czy może raczej fotel, bez żadnych ozdób i uduziwnień. Był pusty. Karzeł

starł się na niego nie patrzeć, bo gdzieś w głębi czuł, że nawet jemu nie wolno pewnych rzeczy widzieć. Rozglądął się za to dookoła. Ponieważ wzgórze było wyjątkowe, widać z niego było cały świat – pusty, zły i pograżony w chaosie. I być może pozbawiony już nadziei i ludzi.

Bertrand usiadł na ziemi obok tronu. Stąd widział dobrze każdy kraniec, choć może nie dostrzegał szczegółów. Ale nie miało to znaczenia, bo wiedział też, że są na świecie inni Obserwatorzy, którzy dobrze wykonują swoje zadania.

Teraz rozumiał, w jakim celu tu przyjechał i podejrzewał, że od początku było mu to pisane. Ma obserwować świat, aby ten nie zginął. Dobry, czy zły, z ludźmi, czy bez, jest zawsze lepszy, niż wielkie nic. Nadzieja, na razie krucha, zaczęła rosnąć w jego sercu. Nie musimy rozumieć wszystkiego, co się dzieje. Absurd i paradoks też są częściami tego świata, a skoro Bóg jest wszechmogący, to musi też je w sobie w jakiś sposób obejmować. Jeżeli może przestać istnieć, to może też kiedyś z nicości powrócić. □



fot. A. Pietryka

Reforma (winna być raczej nazwana destrukcją) systemu edukacji dokonana przez p. Zalewską, strajk nauczycieli (zawieszony do września) stał się obok nieudolnych zabiegów politycznych powodem analizy. Analizy stanu materialnego, organizacyjnego, kadrowego i mentalnego polskiej szkoły. Z analizy wynika, że nie jest dobrze, a na poprawę szans brak. Przynajmniej pod rządami obecnych władców RP. Władców, którym coraz bardziej się wydaje, że są także właścicielami.

Warto zwrócić uwagę na dwa artykuły zamieszczone w tygodniku „Przeгляд”.

W numerze 23. (3-9.06.2019) dr Marta Michalicka-Ipnarska swoje rozważania na temat edukacji opatrzyła wymownym tytułem „WIECZNA SZKOLNA PROWIZORKA”. Sięgnijmy zatem do tekstu:

*„Zaczęło się od wprowadzenia gimnazjów. Była to dziwna reforma, bo najmniej o niej o niej wiedzieli sami zainteresowani – nauczyciele i rodzice. Gdy istnienie gimnazjów stało się faktem, okazało się, że to właśnie nauczyciele mają przeprowadzić tę reformę. Istotne braki metodyczne zaczęto zastępować systemem nakazów i gróźb, rysując wizję ewentualnych konsekwencji personalnych skierowanych zarówno pod adresem dyrektorów, jak i nauczycieli. Reformatorzy oczekiwali natychmiastowego wykonania założeń reformy, a przy tym przekonywali nauczycieli o szczęściu, jakie ich spotkało w związku z reformą, która powinna motywować do pracy. W tym celu nasyłali na szkoły „trójki” – osoby „szkolące” rady pedagogiczne, które często obrażały nauczycieli.*

*Wprowadzona reforma wymusiła na nauczycielach aktywność w sferze, która*

*nie była im znana, i często kolidowała z rzeczywistymi obowiązkami dydaktycznymi. Chodzi tu o tworzenie nowych statutów i regulaminów szkolnych. Nauczyciele stali się prawnikami rozpatrującymi swoiste kazusy czy psychologami rozwiązującymi, dodajmy – bez właściwego przygotowania, problemy psychologiczne uczniów (brak etatów psychologów szkolnych). Za te bezwartościowe w sensie edukacyjnym godziny ciężkiej pracy nigdy im nie zapłacono.*

*To, że w takiej sytuacji gimnazja zaczęły funkcjonować, nie jest zasługą ministerstwa, lecz nauczycieli, którzy w trosce o uczniów i ich przyszłość, mimo medialnej agresji, podjęli wysiłek urealnienia fantazji twórców reformy, wsparli uczniów i pomogli im odnaleźć się w nowej sytuacji. Za ten wysiłek także nie usłyszeli do dzisiaj nawet słowa dziękuję. (...)*

*(...) Wobec szkoły i nauczycieli konsekwentnie uprawia się czarny PR. Ogranicza to i tak już mocno zawężony obszar działań edukacyjnych na rzecz ogólnej roszczeniowości i agresji. Podnosi się argumenty o misyjności zawodu i obowiązkach wobec uczniów, a zapomina o złych warunkach pracy. Zapomina się, że nauczyciele nie mają właściwych pomocy dydaktycznych, że klasy są przeładowane i nie ma szans na indywidualizację pracy.*

*Placąc podatki, rodzice mają prawo oczekiwać, że ich dzieci będą się uczyły w dobrej szkole, w dobrych warunkach. Umniejszanie pozycji nauczycieli to także obrażanie rodziców, którzy podejmując wysiłek wychowawczy, mają prawo oczekiwać, że szkoła prosta ich społecznie uzasadnionym wymogom.*

*Permanentny niedostatek w szkołach traktowany jest przez rządzących jako temat poboczny i marginalny, podobnie jak kwestia niskich wynagrodzeń nauczycieli. A przecież od tego zależy poziom wykształcenia i przygotowania do życia przyszłych obywateli. Sprawa kosztów edukacji traktowana jest przez rządzących jak balast, a powinna być traktowana jak ważna, korzystna lokata. Bo przecież – jak mówił Staszic – „takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie”.*

Do głosu przytoczonej Autorki w numerze 25. (17-23.06.2019) „Przeglądu” dołącza Jakub Dymek. Temat jest nieco szerszy, choć dotyczy, wydawałoby się, tylko części młodzieżowo-szkolnej rzeczywistości.

Jakuba Dymka zajmują relacje między młodzieżą a Kościołem. Artykuł „Młodzi rozczarowani Kościołem” okraszony licznymi wykresami (źródło: „Badanie „Młodzież 2018” Fundacja CBOS we współpracy z Krajowym Biurem ds. Przeciwdziałania Narkomanii, 2019 r.) ukazuje zmiany zachodzące w tej dziedzinie życia społecznego.

*„Pustoszejące kościoły i wierni uciekający od sakramentów. Szkoły, w których nie ma ani jednego chętnego do uczęszczania na lekcje religii. Puste seminaria duchowne. Masy ochrzczonych katolików, którzy się nie modlą.*

*To nie kolejna powieść Michaela Houellebecqa ani pocztówka z 2050 r. Nie jest to również lista złorzeczeń pod adresem Kościoła ze strony organizacji ateistycznych. To stan rzeczy, jaki widzą sami wierni, duchowni i katolickie media. Przynajmniej ilekroć spojrzą na badania religijności Polaków. Od kilku lat biją na alarm szczególnie głośno, bo gwałtownie zmienia się stosunek do wiary młodego pokolenia. I to, co widać*

*w liczbach, pozwala zrozumieć ten alarmistyczny ton. Polska młodzież laicyzuje się najszybciej na świecie. (...)*

*(...) We wszystkich chyba kategoriach wskaźniki religijności są najniższe od ponad 20 lat. Z kolei badania amerykańskiego Pew Research Center z 2018 r. pokazywały, że ten pokoleniowy trend właśnie w Polsce, ze wszystkich przebadanych krajów globu, jest największy.*

*Za osobę głęboko wierzącą albo wierzącą uznaje siebie łącznie 63 % badanych. W 1996 r. było to 80%. Odsetek deklarujących niewiarę niemal podwoił się w ciągu ostatnich pięciu lat – dziś, w zależności od pytania, wynosi 17-21 %. Kolejne 21 % to niezdecydowani – ich też przybyło. Ktoś, kto spojrzy na te dane, orzeknie być może, że 21 % niewierzących to wciąż niewiele w XXI w. i w kraju członkowskim UE. Święta prawda, ale deklaracje to jedno, a praktyka – drugie.*

*Wszystkie wskaźniki uczestnictwa w praktykach religijnych są niższe niż wskaźniki deklaracji religijności, jeszcze niższe są pomiary faktycznego udziału w niedzielnych mszach prowadzone przez Kościół, a konsekwentnie od lat grupą najrzadziej uczestniczącą w praktykach religijnych jest młodzież. (...)*

*(...) Sam Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego liczył, że komunię przyjmuje na niedzielnych mszach zaledwie 17 % parafian. Za to 35 % młodych mówi: „W ogóle nie uczestniczę w praktykach religijnych”. To przeszło trzykrotnie więcej, niż wynosi odsetek nieuczestniczących w praktykach religijnych w społeczeństwie ogółem (11 %).*

*Maleje zainteresowanie szkolną religią. Dziś uczęszcza na nią 70 % uczniów, ale w największych miastach już mniej niż połowa (44 %). Nawet wśród wierzących i głęboko wierzących przeważa opinia – uważa tak 58 % z nich – że zajęcia*

powinny być nieobowiązkowe: czy to w szkolnej sali, czy w parafii.(...)

(...) – nie wdając się w szczegóły – nastolatki i najmłodszy dorośli nie lubią Kościoła, tak jak nie lubią polityki. To zaś potwierdzałoby tezę, chodzi nie o pojedyncze afery, ale o całokształt instytucji i jej działanie. – U dzisiejszych nastolatków widać niechęć do wielkich, ociężałych, skomplikowanych struktur – nawet jeśli obiecują one wspólnotę. To łączy partie i Kościół w oczach młodych. Działalność tych instytucji wydaje się też obszarem gier o władzę, intryg i interesów.”

Dwa ostatnie diagramy zamieszczone w tekście wymagają szczególnej uwagi.

**A) Pytanie: Jeśli uczęszczasz na lekcje religii w szkole, jak je oceniasz?**

**Odpowiedzi:**

„Są nudne, nic ważnego się na nich nie dzieje” - 39 %

„Są ciekawe – chodzę na nie z ochotą” - 33 %

„Są ciekawe jak każda inna lekcja niczym szczególnym się nie wyróżniają” - 27 %

**B) Pytanie: Jaka forma nauczania religii byłaby najlepsza?**

**Odpowiedzi:**

Nieobowiązkowa w szkołach - 52 %

Nieobowiązkowa w punktach

katechetycznych przy parafiach - 17 %

Obowiązkowa w szkołach - 14 %

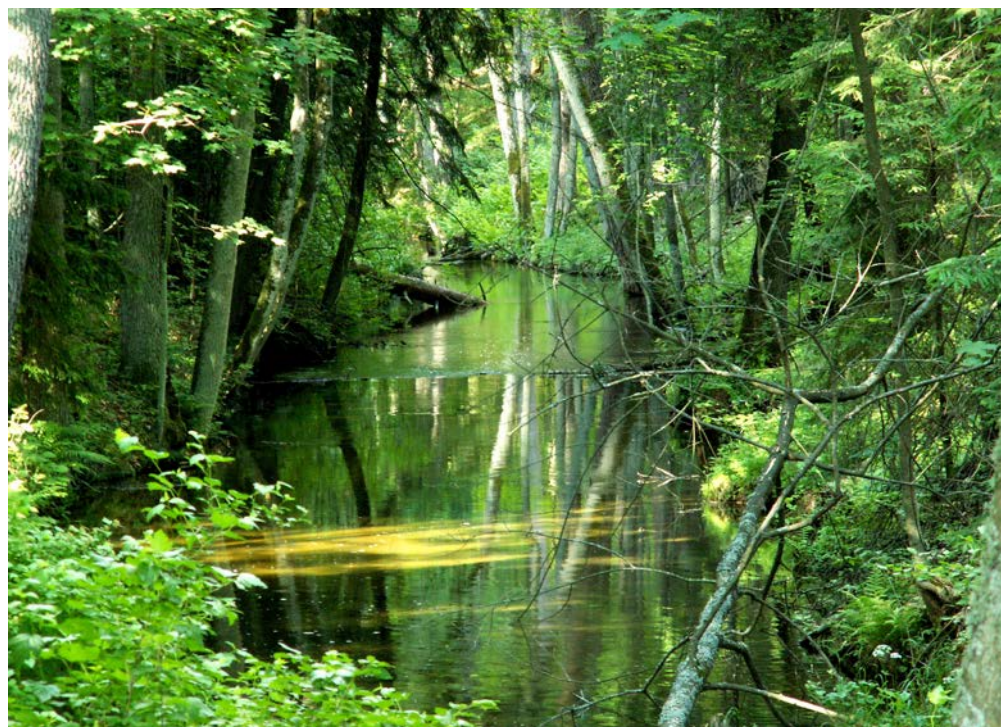
Obowiązkowa w punktach

katechetycznych przy parafiach - 2 %

Trudno powiedzieć - 15 %

Wyniki innych kwestii ujęte w artykule dają obraz dynamiki (niekorzystnej dla Kościoła instytucjonalnego) zmian stosunku młodzieży do katechizacji w szkole. □

Red.



fol. A. Pietryka



■ Łatwiej oczyścić się z wielkich omyłek niż z drobnych świństw.

*Marek Hłasko*

■ Nie powtarzaj tych samych błędów, posądzą cię o sklerozę.

*Antoni Reguński*

■ Zwycię człowiek broni błędów, które kocha.

*Seneka*

■ Wszelki egoizm lubi się zastaniać i stroić pozorami ogólnego dobra.

*Berta Suttner*

■ Kto szuka dobra, z trudem je odnajduje, zło natomiast i bez szukania można znaleźć.

*Demokryt*

■ Tchórzostwo jest matką okrucieństwa.

*Michel de Montaigne*

■ Można popełnić podłość nie będąc łajdakiem.

*Fiodor Dostojewski*

■ Strach jest oczekiwaniem zła.

*Platon*

■ Złe nie śpi, natomiast dobre zasypia bardzo często.

*Stefan Kisielewski*

■ Grzeszyć to nie znaczy czynić zło. Grzeszymy naprawdę, nie czyniąc dobra.

*Pier Paolo Pasolini*



Projekt okładki: **Stefan Berdak**

Kompozycja stron: Artur Kozioł

Grafiki: Piotr Augustynek. Zdjęcia: Antoni Pietryka



STEFAN BERDAK "Czy oni myślą" collage